

# WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 29 marca 1953 r.

Nr 13 (39)

STANISŁAW PIOTROWSKI

## O TWORCZOŚCI LUDOWEJ

Fragment referatu wygłoszonego na I Krajowej Konferencji Twórców Ludowych w W-wie.

W okresie feudalizmu, a z kolei i kapitalizmu, kiedy społeczeństwo podzielone jest na klasy, lud jest coraz bardziej eksploatowany i wyzyskiwany. Sztuka ludowa nabiera charakteru klasowego i wiąże się ściśle z wyzyskiwanymi. Obok zaś rozwija się sztuka uczona, będąca na usługach panujących, na usługach klas rządzących, zasięg jej jest wyraźnie elitarny. Istnieje równocześnie oddziaływanie na siebie tych klas jak również ich kultur. Na sztukę ludową oddziaływała kultura klas panujących w ten sposób, że narzucała wiele swoich elementów wrogich interesom ludu. To obciążenie obcą ideologią ciąży i dziś nad sztuką ludową, choć już w mniejszym stopniu, jak ciężko chociażby kilkanaście lat temu. Znajduje to swój wyraz w ideologii światokarstwa, mistycyzmu, w usypianiu poczucia krzywdy społecznej w stosunku do wyzyskiwaczy. W okresie kapitalizmu, gdy sprzeczności klasowe coraz bardziej się zaostrzają, pojęcie sztuki ludowej poszerza się i obejmuje nie tylko wytwory wiejskie, ale i ubogich rzemieślników miejskich i proletariatu.

W społeczeństwie jednolitym, socjalistycznym, gdzie nie ma wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, sztuka tzw. „uczona” i sztuka samorodna ludowa wzajemnie się coraz bardziej zacieśniają, służą tej samej społeczności, całemu narodowi w imię tych samych interesów, tej samej idei. Niedoszliwin mówi: „Podstawą ludowości radzieckiej sztuki pod względem treści jest jej nierozdzielna łączność z życiem ludu, z interesami socjalistycznego państwa, z kierującymi ideami bolszewickiej partii... ludowość formy zakłada przede wszystkim jej szeroką dostępność”.

Jaki wniosek praktyczny wyciągnąć można dla nas z tego zdefiniowania?

My nie mamy jeszcze społeczeństwa bezklasowego. U nas trwa stale zaostrzająca się walka klasowa, w ogniu której budujemy socjalizm. Ta walka toczy się w każdej dziedzinie, a więc i w kulturze, na każdym posterunku budownictwa socjalistycznego. Na odcinku sztuki ludowej walka ideologiczna sprowadza się przede wszystkim do wydobycia plebejskiego nurtu ze spisu sztuki ludowej, nurtu walki o wyzwolenie społeczne ludu z ucisku i wyzysku.

Walka ideologiczna na odcinku sztuki ludowej, to oczyszczenie jej z religianctwa i naleciałości szlacheckich i burżuazyjnych. To jednocześnie walka o jej uwspółcześnienie, to znaczy nadanie jej ideowego wyrazu naszych czasów ludowych.

Zaciepła walka z kulakami, spekulantami trwa na wsi. W wyniku tej zwycięskiej walki rodzi się wieś socjalistyczna, wieś pracujących chłopów — powstają spółdzielnie produkcyjne. Zatem wniosek — sztuka ludowa, nasi twórcy winni jeszcze bardziej zaostrzyć oręż ideologicznego oddziaływania dostępnymi im, zrozumiałymi, coraz wyższymi jakościowymi środkami artystycznymi w walce o socjalizm na wsi, wiążąc się z obecnym życiem ludu, z interesami Polski Ludowej, z kierującymi ideami naszej Partii.

Hasłem naszym, pod jakim zwycięsko naród radziecki zbudował kulturę socjalistyczną, idąc dalej na przód do komunizmu jest hasło kultury socjalistycznej w treści, a narodowej w formie. W realizacji tego hasła ma do spełnienia poważną rolę sztuka ludowa, przez wydobycie i wnieście do kultury ogólnonarodowej wszystkiego tego, co jest w niej najwartościowsze. Wartościowa jest w niej bliskość i zrozumiałość, wiązanie się z życiem ludu, z jego walką i pracą, z jego tęsknotami. W niej wypowiedział się charakter narodowy.

Czy sięgnięcie wyłącznie do sztuki ludowej, do jej skarbcza przebogatego zabezpieczy zrealizowanie postulatów narodowej formy w naszej sztuce? Takie tylko sięgnięcie nie wystarczy. W parze winno pojąć wiązanie się z postępowym i wielkim nurtem naszej spuścizny wykształconych pokoleń.

Jeń, tej sztuki, jak ją nazwaliśmy dla ułatwienia, „uczony”. W kształtowaniu się sztuki socjalistycznej to dwa nurty ideowo zbieżne spotykają się i wzajemnie uzupełniają, zapewniając sztuce socjalistycznej, owianej wielką ideą internacjonalizmu, wyraźny charakter narodowy.

Swoistymi rodzimymi cechami sztuki ludowej będą wszystkie te elementy, które wpłynęły na wytworzenie się odrębności regionalnej a jednocześnie w powiązaniu się wzajemnym odrębności narodowej. Uwarunkowane są odrębnością stosunków gospodarczych — społecznych, geograficznych, zwyczajowych i kulturalnych, z których wypływa kształtowanie się upodobań artystycznych. Tym można wytłumaczyć różnice strojów i układ, zestaw kolorów w pasiakach poszczególnych regionów, tym można wytłumaczyć różne formy artystycznego wyrazu w ceramice, w sprzęcie domowym, w budownictwie, w malarstwie, w rzeźbie, w tkactwie, w hafcie, w opowiadaniach, w melodiiach, warunkowanych jakością bytowania i temperamentem ludzkim.

Zas ogólnoludzką cechą sztuki ludowej, pojętej całościowo wraz z folklorem jest to, że wyrastała ona wśród wyzyskiwanych, że wyrażała tęsknotę mas ludowych do wolności, że w niej wypowiedział się człowiek walczący o wyzwolenie, że w niej wypowiedział swoje dążenie do piękna. Te cechy występują w okresie kapitalizmu zarówno w sztuce ludu polskiego, jak i rosyjskiego, litewskiego, jak i ukraińskiego, występują we wszystkich sztukach ludowych.

Jedni twierdzą, że twórczość ludowa, aby była ludową w sensie tradycyjnym, winna ani na krok nie odstępować od dawnych, jakoby klasycznych dzieł twórców ludowych, które praktycznie ukształtowały się w XIX wieku i są dostępne dzisiaj. Stanowisko konserwatywne, stanowisko niebezpieczne, hamujące rozwój twórczości, a twórcę spychające na pozycję kopyisty, naśladowcy.

Drudzy natomiast stają na przeciwnym krańcu, upraszczając jeszcze bardziej sprawę. Wyrażenie nie rozumieją zagadnienia i wydaje im się, że sztuka ludowa jest anachronizmem, bo w czasie mechanizacji i taśmowej produkcji, maszyny mogą lepiej i więcej wyprodukować, niż to robi artysta, rękodzielnik. Przytacza się sprawę produkcji tkanin ludowych, wycinanek, ceramiki itd.

A tymczasem...

Tradycja w sztuce ludowej była szkołą technik artystycznych stale ulepszanych, traktowanych rozwojowo, bogatych przez następne pokolenia, wiążąca się stale z rozwojem społeczeństwa, służąca swemu środowisku, jednocześnie była jego odbiciem. Zatem i nowe pokolenie twórców winno jeszcze więcej zrobić krok naprzód. To wcale nie znaczy, by zerwać z tradycją, a stworzyć coś wysoce oryginalnego, nie mającego żadnego uzasadnienia w ciągłości. Są pewne cechy, które nadają charakter regionalny, jak również narodowy, ale wyrażanie tych cech w dziele sztuki należy do indywidualności twórczej — do jej postawy zdobywczej, do umiejętności operowania tymi elementami dla wyrażenia idei społecznej, nurtującej społeczeństwo, idei, która jest własnością również twórcy. Ta idea naszych czasów jest walka o socjalizm i pokój. Widzimy dziś, że w sztuce ludowej na miejsce dawnych treści kulturowych wstąpiły w większości tematy nasze, odnoszące się do dzisiejszego człowieka, do jego pracy i walki o Plan i o pokój.

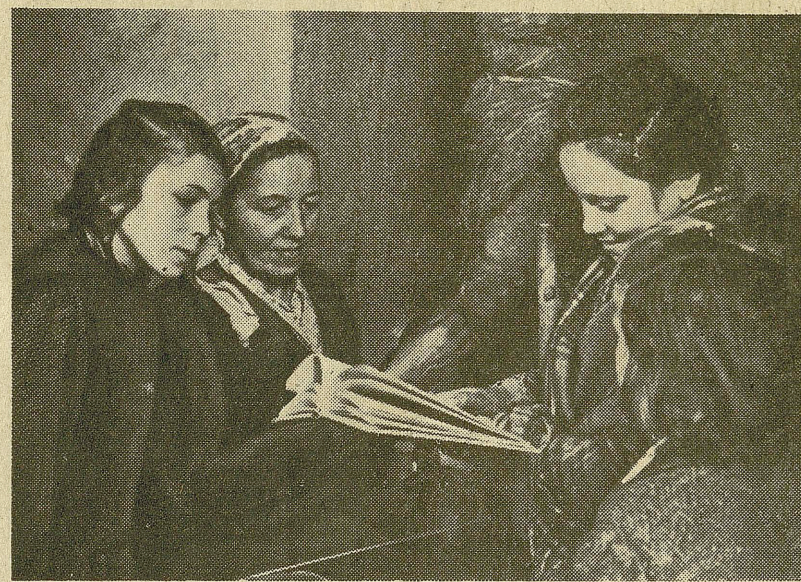
A sprawa masowej produkcji. Tu jesteśmy na drodze do rozwiązania drugiego problemu, a mianowicie współpracy artysty z produkcją przemysłową, jak również walki o to, aby wszystkie przedmioty użytkowe miały swój wyraz artystyczny i estetyczny, i aby tkwiły w społeczeństwie swoimi elementami narodowymi, rugując pozostałość kosmopolitycznej tandety.

(Końcowy fragment referatu w następnym numerze)

Stanisław Piotrowski



ALFREDA LIPIARSKA



Na froncie czytelnictwa

## CZY BŁĘDY JUŻ PRZEWYCIĘŻONE?

W swojej pracy bibliotekarskiej popełniałem kilka poważnych błędów. Uświadamiłem sobie wyraźnie, ale nie jestem pewna, czy znalazłem już wszystkie drogi ich przewyżnienia. I dlatego czynię ze swej pracy rodzaj powieści publicznej w tej nadziei, że wielu spośród 3000 moich kolegów — gminnych bibliotekarzy — zechce uważnie przeczytać o mojej pracy i dopomóc mi.

Od trzech lat jestem kierowniczką Gminnej Biblioteki w Zabierzowie, gminie wsi odległej o kilkanaście kilometrów od Krakowa. Zaczynałam pracę mając pozostawionych mi w spadku zaledwie 17-stu stałych czytelników. Stan doprowadził do załamania, tym więcej, że tradycje czytelnictwa wsi krakowskiej są bardzo bogate.

Sadziłam, że nim ruszę na zdobycie masowego czytelnika w gminie, powinienam sobie odpowiedzieć na pytanie, czemu to nie korzystają chłopcy ani z gminnej biblioteki, ani z punktów bibliotecznych, prowadzonych u nas przez nauczycieli, a więc ludzi cieszących się ogólnym zaufaniem. Znalazłam dwie odpowiedzi.

Kraków, podbież wielkiego miasta — oto co przeszkadza w rozwoju czytelnictwa. Ludzie jeżdżą do miasta, tam kupują książki, a nie w naszej GS, gdzie wybór mały. Wielu pracuje w mieście i tam zapewne należy do jakiejś biblioteki. Tak sobie wyobrażałam pierwszą przeszkodę w rozwijaniu czytelnictwa na terenie naszej gminy.

A drugiej dopatrywałam się właśnie w tradycjach czytelnictwa krakowskiego. Odgrywały one dziś hamującą, szkodliwą rolę. Chłopi

przyswyciali się do czytania rozmaitych bzdur, jakimi zasypywała ich plebiana, wędrowni kramarze, przesiąknięci klękami sentymentalną szmيرًا, nie tedy dziwnego, że nie chcą dziś czytać wielkich realistycznych pisarzy, a jeszcze w mniejszym stopniu pisarzy socjalistycznych.

Oczywiście, pierwsze przeszkody usunąć nie mogłam i dlatego może postawiłam krzyż nad tymi, którzy związani byli pracą z miastem. Całą energię skupiałam natomiast na walce ze złymi gustami czytelników chłopskich. Opracowałam sobie pewną metodę działania. Czytelnicy zwracali się do mnie z prośbami o sentymentalne książki, takie, „żeby było o miłości z przeszłości”, a człowiek mógł spokojnie spać”. Odpowiadałam, że nie mam już książek Zaryckiej, czy Courta Mahlerowej, ale mogę służyć innym podobnymi autorkami. I dawałam Rodziewiczównę i Orzeszkową.

Czytelników wprawdzie przybyło dzięki zastosowaniu metody uosławiania Orzeszkowej z Zarycką, po roku liczba ich przekroczyła 100, co łącznie z rodzinami wynosiło jakieś 300—400 osób. Ale równocześnie nie poprawne dyskusje, prawdziwe rozumienie społecznej treści nauk płynących z czytania Sienkiewicza, Prusa, czy naszych pozytywistów stało się niemożliwe.

Życie pokazało mi niebawem, że pomyliłam się zarówno w ocenie sytuacji jak i sposobach jej poprawienia.

Trzymałam się kurczowo zasady, że w bibliotece powinno być kilkanaście szmierzawych książek, o wycieczkach, o przeszłości, o „na przynętę, na pomnożenie liczby czytelników. I miałam doprawdy

wielki żal do kierownictwa Biblioteki Powiatowej, kiedy mi je zabrano dając wzamian szereg pozycji z lektury szkolnej.

Tymczasem stał się — jak sądziłam — jakiś dziw. Młodzież szkolna, która zwiędziała się szybko, że przyszedł Polewoj, Babajewski, Kajtaw, Ażajew, Szolochow, Tołstoj, Fadiejew, Wasilewska, Czesko, Newerly, Morcinek, Hamera, Koźniewski, Brandys — obległa bibliotekę z miejsca. Książki współczesne o których poczytność daremnie walczyłam, a raczej walczyłam bez większych sukcesów, zawędrowały do domów, rewolucjonizowały najbardziej — jak mi się zdawało — zacofanych czytelników. Przede wszystkim jednak zabrali się do czytania chłopcy-robotnicy, stanowiący zdecydowaną większość naszej gromady. Teraz dopiero przyjrzałam się uwarunkowaniom struktury klasowej i zawodowej naszej gminy. Gruntowna analiza pozwoliła mi rzeczywiście zmienić radykalnie stan czytelnictwa.

„Straceni dla kultury” chłopcy-robotnicy okazali się najwyższymi jej nosicielami. Ludzie ci pracowali w socjalistycznych fabrykach, budowali nowe i piękne miasto — Nową Hutę, stawiali tam olbrzymie kombinaty. Rozczytali się natchnieniem w Ażajewie, porównywali wysiłek inżyniera Bachmatowa, z wysiłkiem polskich i radzieckich inżynierów w Nowej Hucie. Ale nie o to nawet chodzi, że w gromadach podkrakowskich robotników-robotników łatwiej i chętniej garną się do czytelnictwa współczesnych książek. Są to przecież dzieła o nich samych.

Stwierdziłam rzecz daleko jeszcze ważniejszą. Ludzie ci niesłychanie wzbogacają dyskusję o książkach własnymi doświadczeniami, które — w uszach słuchających chłopów — brzmią bardziej przekonująco. Opowiadają, że przecież znany od lat sąsiad. Nasi robotnicy-robotnicy zaczęli oddziaływać politycznie na gromadę. Ostatecznie z cież w 1952 roku byliśmy pierwszą gromadą w powiecie jeśli chodzi o wykonywanie obowiązków wobec naszej ojczyzny. Prawie nieprawdopodobne, ale w znacznej mierze zawdzięczamy to tym, którzy przestają być już chłopami.

Tak więc znalazłam, a raczej wreszcie zauważyłam dwie siły społeczne: dwa koła napędowe ruchu czytelnictwa w gminie. Młodzież, która roznosi książki po domach i robotnicy-robotnicy, którzy przesunęli czytelnictwo na wyższy etap — spopularyzowali „socjalistyczną literaturę” i wnieśli konkretną wiedzę o powstawaniu socjalistycznym życiu w kraju.

To była prawdziwa rewolucja. Nie chodzi już o to, że liczba stałych czytelników znacznie wzrosła. W mojej Bibliotece będzie ich ponad 800. Ważne jest to, że książka zdobyła przodujących w gospodarce chłopów, zdobyła nawet starych, do niedawna zwolenników „sentymentalnej szmیری”. Wiedzę już, jak mylnie osadziłam sytuację społeczną w gminie i jak niewłaściwie wysnułam z niej wnioski.

Ubiegłego roku zdobyłam nowe doświadczenia. Dzięki nim doprowadziłam do takiego stanu, że brakuje mi książek. Mam ich u siebie i w punktach bibliotecznych około 3 tysięcy, a przecież widzę, że i 10.000 nie było by za dużo. Dlaczego? Ano dlatego, że powstał w gminie grunt na masowe czytelnictwo. Nie doceniałam ścisłego związku spraw kultury z polityką i ekonomią. To nie oznacza, że negowałam ten związek.

Otóż planowy skup i kontraktacja wzbudziły zainteresowanie wielu

chłopów dla hodowli. Z miejsca wzrósł popyt na książki rolnicze. Tak to ekonomia wiąże się z ożywieniem czytelnictwa.

„Jak uprawiać glebę na jarzyny” — taką pogadankę wygłosił mi przez miejscowy radiowęzeł. Chłopi od razu rzucili się do książek, a że nie wszyscy należą do rozumiejących, doszło do powstania klubu dyskusyjnego dla szerszej, społecznej wymiany doświadczeń. Tak jest z chłopami, a robotnicy pochodzenia chłopskiego? Dla nich najważniejszą sprawą życiową jest zdobycie możliwości jak najwyższych kwalifikacji, otwarcie sobie dalszej drogi awansu. Jeszcze dwa lata temu tomiki z Biblioteki Przewodników Pracy leżały nie czytane. W roku 1953, przez dwa pierwsze miesiące idą w obieg już 11-ty raz. Nasi robotnicy-robotnicy doszukują się w życiorysie murarzy wzorów życiowych dla siebie. Stąd też szeroko dyskutują osiągnięcia budowniczych Warszawy, Nowej Huty, Nowych Tych. Jak daleko sięga pamięć najstarszych w gminie ludzi — takiego zainteresowania, dla książek nigdy jeszcze dotąd nie było.

Młodzież zbiera się często, aby ugodzić wrażenia nad przeczytaną lekturą. Towarzyszą jej coraz częściej rodzice. Ta właśnie droga przysłuchiwania się rozmowom dzieci poznali rodzice „Młoda Gwardia”, „Jak hartować się stał”. Ostatnio sami urządzili w Zabierzowie dyskusję nad „Zorany Ugorem”. I znowu muszę powiedzieć, że rzeczywistość poddyktowała chłopom wybór tej właśnie książki do dyskusji, a nie innej. W gromadzie Ujazd powstała pierwsza w naszej gminie spółdzielnia produkcyjna. Zainteresowanie dla socjalistycznej gospodarki znacznie wzrosło. Ale to zainteresowanie nie wypłynęło oczywiście z faktu, że powstał w okolicy pierwszy elektrowni, lecz jest cechą naszego etapu historycznego, ruchu spółdzielczego, produkcyjnej rolni z roku na rok i musi się odbijać na zainteresowaniach chłopów.

Otóż nie umiałam początkowo wyciągać wniosków dla polityki kultury z aktualnej, bieżącej sytuacji politycznej i gospodarczej. Dziś jest już inaczej.

Nasz miejscowy radiowęzeł informuje chłopów regularnie o osiągnięciach spółdzielczości produkcyjnej a równocześnie poleca odpowiedzi na książki, zaprasza do dyskusji nad nimi, zapowiada odpowiednie nagrody. Prawie wszystkie gromady naszej gminy mają już za sobą dyskusję nad statutami spółdzielni produkcyjnych, organizowaną przez nauczycieli, kierowników punktów bibliotecznych.

Pod wpływem książek zmieniają się mieszkańcy naszej gminy. Wielu chłopów zauważa słusznie, że kobiety znacznie mniej plotkują, garną się coraz wyraźniej do pracy społecznej, walczą o podniesienie produkcji, są stanowczo lepszymi żonami i matkami. Kobiety zaś uważają, że poprawili się mężczyźni — spoważniali, przestali pić, nie wałęsają się beczynnie po podwórku, nie stoją przy drodze i nie plują do rowu. Jeżeli wysiadają gdzieś to w szkole lub świetlicy, albo przy lampie wieczorem, pochyleni nad książkami.

Wydało mi się, że w dużej mierze zrozumiałam związek pracy bibliotekarza z szerszymi warunkami politycznymi i gospodarczymi gminy i kraju. Jeżeli jednak moi koledzy zauważyli jakieś błędy lub niedomówienia w mojej wypowiedzi niechże za pośrednictwem „Wsi” porozmawiają ze mną.

Alfreda Lipiarska

JAN MARIA GISGES

## WSPÓLNY SIEW

Ostatnie śniegi topnieją,  
brudna na ziemi lata. —  
Skrepować trzeba powrosem  
chochoły starego świata.

Zniknęły już z horyzontu  
pola — pasiaście zapaski. —  
O zaoranej miedzi  
umilkły kłótnie i wrzaski

Ale czai się jeszcze  
choćwa kulacka łapa,  
aby za gardło chwycić,  
naszą ranę rozdrapać...

Wykarczuj polanę wroga!  
By była jasna jak płótno!  
Siekierą w drzewa zmurszale!  
Niech się rozsypią w próchno!

\*

Pora wyjechać w pole  
traktorów gromadą gwarną —  
W ziemię tak jak świat starą  
chluśnie wiosenne ziarno.

Na siew! Chłopi wspólnoty!  
Niech stutysięczny zastęp  
idzie w kraj rewolucji  
hojną rozsiewać garścią!

Tyrają chłopcy samotni

we wsiach zimnych jak śniegi  
Pożar rozpalic trzeba —  
Walką pomnożyć szeregi.

Już nie strumieniem wąskim,  
płyniemy szeroką rzeką,  
Nurtem porwiemy kamienie —  
będą służyły wiekom —

Dzień do dnia niepodobny  
i znojn jak czas młocki.  
Každy dniem swoim pisze  
nowy manifest chłopski.

\*

Napięta cisza jak chusty  
Owija tysiącami barki —  
Pada z ust Gospodarza  
twarda nauka Partii.

Z pełnej Mirowskiej Hali  
jak z ogromnego tobołu  
ziarno wysiewa Gospodarz. —  
Buchnął wiosenny podmuch!

Runęła burza oklasków,  
w której grzmotu imię —  
BIERUT!

GOSPODARZU!  
NARODOWYM  
WSPÓLNYM SIEWEM  
KIERUJ!





TADEUSZ ORLEWICZ

# Twórcy ziemi szczęśliwej

**H**istoryczny plan elektryfikacji kraju, plan Go-Ei-to, Lenin nazwał drugim programem partyjnym. „Lama i Iljicza” — żarówka elektryczna — miała rozbić mroki zaoferanej wsi. Potokami energii, czerpanej z mórz i rzek, wprężonych w służbę człowieka, płynęła miała coraz potężniejsza siła napędowa dla wielkich wówczas budowli socjalizmu. Wells ironicznie nazwał Goelko „elektryczną utopią”. Utopia? Wizja? Nie.

Stalinowska epoka przeobraziła plan Lenina w rzeczywistość o wiele potężniejszą niż jego założenia. W roku 1952 produkcja energetyczna ZSRR wynosiła już 200 razy więcej niż przed 30 laty bijąc pod względem rozwoju i wykorzystania zasobów „białego węgla” wszystkie kraje naszego globu.

Pięty stalinowski plan pięcioletni daje nową dyrektywę: produkcja energii elektrycznej w ZSRR wzrosła o dalsze 80%. Ruszają już kolejne największe turbiny świata, zwane przez ludzi radzieckich „turbunami pokoju”, potężne generatory przyniosą zwiększenie energii o zawrotną moc 22,5 miliarda kWh. Spełnia się w zupełności gorące marzenie Lenina o czasach, gdy elektryfikacja przemysłu w kraju socjalizmu uczyni warunkiem pracy bardziej higienicznymi, wybawi miliony robotników od dymu, kurzu i brudu, przyspieszy przekształcenie brudnych, obrzydliwych warsztatów w czyste, jasne, godne człowieka laboratoria. A na wsie radzieckiej mechanizacja sięga dziedzin najbardziej na nią opornych, codziennych i żmudnych: robót w polu, obrządzania bydła, udoju, hodowli drobiu. Maszyna i elektryczność zastępują wysiłek fizyczny człowieka i zbliża się chwila, gdy każdy będzie pracował według swych zdolności i otrzymywał według swoich potrzeb.

Tak właśnie przewidywał Stalin.

W roku 1919 mówił Lenin: „Gdybyśmy mogli dostarczyć jutro 100 tysięcy pierwszorzędnych traktorów, zaopatrzyć je w benzynę, zaopatrzyć je w maszynistów (wtedy doskonałe, że na razie jest to fantazja), to średni chłop powiedziałby: „Jestem tu komuna” (to znaczy za komunizm)”.

Gdybyśmy mogli...

A już po latach dziesięciu w mieście Stalina pierwszy traktor opuszcza fabrykę. Pierwszy — z 50-tysięcznej produkcji rocznej.

W roku 1938 już nie 100 tysięcy, ale blisko 700 tysięcy nowoczesnych traktorów i maszyn tworzy nową historię Ziemi, ziemi kwitnącej. Tylko w ciągu ubiegłego 1952 roku kolchozy i sowchozy otrzymały 131.000 traktorów, w tym poważną ilość traktorów elektrycznych, 41.000 kombajnów zbożowych, 57 tysięcy ciężarówek i miliony innych maszyn i narzędzi dla prac polnych i hodowlanych.

W ciągu pierwszej powojennej pięcioletki siedem tysięcy nowych fabryk i hut, nowych przedsiębiorstw przemysłowych ruszyło w ZSRR w służbę budownictwa komunizmu. Tylko w ciągu lat 1950—1952 krajowy przemysł budowy maszyn wyprodukował około 1.600 nowych typów maszyn i mechanizmów. Niejedną z tych maszyn sama jest jak fabryka. Przygotowuje do produkcji 35-tonowy korpus największej maszyny. Czy koparka krocząca, która zastępuje wysiłek 7.000 kopaczy. A wciąż przybywają nowe, doskonalsze.

Już w roku 1951 w kolchozach zmehanizowano całkowicie orkę, a w 75% — siew. Ponad 60% zbóż zebrano przy pomocy kombajnów. W sowchozach — podstawowe prace całkowicie zmehanizowano.

Bo też „nigdzie tak chętnie nie stosuje się maszyn jak w ZSRR” — wskazuje Stalin — ponieważ maszyn oszczędzają pracę społeczeństwu i czynią pracę robotników lżejszą, i wobec tego, że w Związku Radzieckim nie ma bezrobocia, robotnicy z wielką ochotą używają maszyn w gospodarce narodowej”.

Lenin widział w spółdzielczości w ogóle, w szczególności zaś w spółdzielczości rolniczej, dostępną i zrozumiałą dla milionów chłopów drogę przejścia od drobnej gospodarki indywidualnej do wielkich zespołów wytwórczych. Bo „jeżeli gospodarka rolna ma możliwość dalszego rozwoju — mówił Lenin — to trzeba trwale zapewnić również dalszy etap tego rozwoju, a dalszy etap nieuniknionie polega na tym, żeby najmniej opłacalne i najbardziej zaoferane, drobne, odosobnione gospodarstwa chłopskie, łącząc się stopniowo, zorganizowały uspołecznione, wielkie gospodarstwa rolne”.

Rok 1927. Stalin wytycza drogę: kolektywizacja w drodze przykładu i przekonywania. Rok 1929 — rok przełomowy, początek masowego ruchu kolchozowego. Całymi wsiami, gminami, powiatami, a nawet okręgami ruszył chłop do kolchozów. Za biedniakiem do kolchozów ruszył średniak. Rok 1933 — obecnie rzecz polega na tym — mówi Stalin — „żeby podnieść kolchozników — zarówno dawną biedotę jak dawnych kolchozników — jeszcze wyżej. Polega na tym, żeby uczynić wszystkich kolchozników zamożnymi. Tak, towarzysze, zamachniemy”.

Zwycięstwo socjalizmu w gospodarce rolnej decydowało o nieodwracalnym postępie zamożności chłostwa kolchozowego, o rosnącym strumieniu towarowej produkcji rolno-hodowlanej, o utwierdzeniu potęgi gospodarczej i siły obronnej kraju Stalina. „W wyniku realizacji stalinowskiej polityki obniżki cen w ciągu ostatnich pięciu lat ogólny poziom cen artykułów masowego spożycia w ZSRR uległ zmniejszeniu o 50%, to jest o połowę. Oznacza to, że dziś



konsument radziecki może kupić za 50 rubli tyle towarów, ile kupował 5 lat temu za 100 rubli”.

Rośnie zamożność powszechna i dobrobyt powszechny. Za sprawą Stalina zacierają się coraz bardziej zdecydowanie różnice między miastem i wsią. Rosną wspaniałe agromiasta. Zacierają się wspaniałe różnice między różnymi rodzajami robotników przemysłowego i rolnika.

W drodze stopniowych przejść, realizowanych z korzyścią dla kolchozów, a więc i dla całego społeczeństwa, trzeba — uczy Stalin — podnieść własność kolchozową do poziomu własności ogólnonarodowej. Aby spełnić jeden z wstępnych warunków przejścia do jeszcze wyższej, niż obecna, ekonomiki, do ekonomiki komunizmu.

Pisał Lenin w roku 1921 do towarzyszy komunistów Azerbejdżanu, Gruzji, Armenii, Dagestanu: „Od razu postarajcie się poprawić sytuację chłopów i rozpocząć wielkie prace nad elektryfikacją i nawadnianiem. Nawadnianie jest potrzebne bardziej niż cokolwiek inne i bardziej niż cokolwiek inne przeobrazić kraj, odróżnić go, pogrzebie przeszłość, ułatwi przejście do socjalizmu”.

Nadeszły lata pięcioletek stalinowskich. Twórcą niezwalczonych potęg gospodarczej, politycznej i moralnej Kraju Rad stał się wielkim twórcą Ziemi Kwitnącej. Zaden porwł twórcą kłopotów nie był w przeszłości tak śmiały, tak odważny, jak rozmach tych bolsaterskich czynów, do których wezwał Stalin narody radzieckie. „Według gigantycznego planu, najwspanialszego ze wszystkich, przyczyna człowieka w dziedzinie przebudowania planety, według planu stalinowskiego — pisze W. Safonow — w ciągu 16 lat zostanie przekształcone oblicze ziemi na olbrzymich przestrzeniach, niemal równych trzem Francjom i pięciu Angliom albo czterem Italiami. Przekształcona będzie przyroda, zmieniony klimat, całkowicie usunięta, znieczyszczona, z pamięci ludzkiej nawet wydrata najgroźniejsza, zdawałoby się, nieunikniona żywiołowa klęska posuchy. Do roku 1963, za życia jednego pokolenia stworzono zostanie nowo kolosalny kontynent, o innych cechach naturalnych i prawach, z niespotykanym dotąd krajobrazem, z nowymi zarysami wody i łąd, lasów i pól, zamieszkałych przez nową faunę i florę. Wielki, radosny łąd obfitości”. Praca nad przemianą Ziemi w kwitnący ogród osiągnęła geologiczną, niemal kosmiczną skalę, jak mówił Timiriazew. Bo człowiek radziecki stał się za sprawą Stalina i jego nauki, mówiąc słowami innego wielkiego rosyjskiego uczonoego, Ciołkowskiego: „panem ziemi i oceanu, powietrza, pogody, roślin, a przede wszystkim samego siebie”.

Lenin w roku 1923 pisał o rewolucji kulturalnej, przed którą stoi Kraj Rad. „Ta rewolucja kulturalna jest dla nas obecnie wystarczająca, byśmy się stali krajem zupełnie socjalistycznym, ale dla nas ta rewolucja kulturalna przedstawia niezmierznię trudności natury zarówno czysto kulturalnej (ponieważ jesteśmy analfabetami) jak materialnej, ponieważ, by być kulturalnymi, potrzebny jest pewien rozwój materialnych środków produkcji, potrzebne są pewne materialne podstawy”. Upięknienie czterdziestego i 48 narodowości stworzyło literaturę piękną, wydaje we własnym, ojczystym języku podręczniki, książki, gazety. Ludy i plemiona dalekiej północy, stojące do niedawna na najniższym szczeblu kultury, mają nie tylko własne piśmiennictwo, ale wybitnych poetów i artystów.

A dyrektywa piątej pięcioletki stalinowskiej brzmi: „Do końca pięcioletki zakończyć przechodzenie do systemu nauczania 7-letniego do

powszechnego nauczania średniego (dziesięcioletka) w stolicach republik, w miastach wydzielonych, w miastach obwodowych, krajowych i wielkich ośrodkach przemysłowych. Przygotować warunki do pełnej realizacji w następnej pięcioletce powszechnego nauczania średniego (dziesięcioletka) w pozostałych miastach i miejscowościach wiejskich”.

Oto rewolucyjny nieznan w historii skok do powszechności średniego wykształcenia, oto miara wielkości rewolucji kulturalnej, którą poprowadził zwycięski Stalin i nadal jej ośniewająca dalekość — perspektywa, aby osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który by zapewnił wszystkim jego członkom wszechstronny rozwój zdolności fizycznych i umysłowych.

Przemysł, planowany i realizowany w skali nieznanej dotąd światu, niedostępnej, najpotężniejszej nawet ekonomice kapitalistycznej. Tonące w mrokach wsi i miasteczka przemienione w jarzące się agromiasta. Tysiące traktorów w miejsce sochy i radła. Giganty kolchozowej wspólnoty pracy. Przyroda, niewolą dotychczas człowieka, wprężnięta w jego służbę. Kultura, dawniej przywilej wybranych, dostępna najszerzszym masom, dla których stała się chlebem codziennym. Taki jest ten fragmentaryczny wycinek dotychczasowego dorobku epoki stalinowskiej. Epoki, która trwa i trwać będzie, albowiem tworzył ją Człowiek, którego myśl i czyn nie były dziełem samotnego geniuszu, ale płynęły z wiecznego żywego źródła, jakim jest Partia. Z sił Partii, dzwigni Rewolucji, czerpał Stalin swą moc i sam z kolei kształtował ten wielki motor przeobrażeń Związku Socjalistycznych Narodów. Mówimy, że Stalin i Partia to jedno. I w tym „jednoczeniu się z potężnym kolektywnym postępu leży również wielkość Stalina”.

W roku 1917 Lenin mówił, że Partia jest „rozumem, honorem i sumieniem naszej epoki”. I za sprawą Stalina, kierowną jego nieomylną dłoń partia w walce o przyszłość narodów, w walce przeciwko wojnie, w walce o utrzymanie pokoju, okrzepła w jednolitość, niezwykłą potęgą moralno-polityczną. Na przykładzie Kraju Rad, w oparciu o jego rosnące, decydujące znaczenie w świecie, że wskazań partii czerpały i czerpią ludy całego świata wiarę i siłę do walki o wyzwolenie społeczne i narodowe. „Brygada szturmowa” światowego ruchu rewolucyjnego nazwał partię Lenina-Stalina walczący proletariet świata. Wyrażali oni przez to nadzieję, że sukcesy „brygady szturmowej” ulżą sytuacji narodów jeżdzących pod jarzmem kapitalizmu. „Sądze” — mówił Stalin na XIX Zjeździe KPZR — że nasza partia nie zawiodła tych nadziei, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej, kiedy Związek Radziecki rozgromił niemiecką i japońską tyranię faszystowską, wywabił narody Europy i Azji od groźby niewoli faszystowskiej”.

Dziś, gdy zawi: nad światem groźba nowej tyranii i niewoli, ludzie walczący o wolność patrzą w tym samym kierunku. Wiedzą, że partia stalinowska, to rozum, honor i sumienie naszej epoki. Dokonał tego Stalin, symbol zwycięstwa postępu nad zacofaniem, socjalizmu nad kapitalizmem.

Stalin umarł. Partia jednak. Jego partia nie umiera. Bo „Przyszłość — jak pisał Martin Andersen Nexø — należy do idei, której najwyższym wcieleniem jest Stalin”. Bo dziś zwycięskie drogi prowadzą do komunizmu.

Tadeusz Orlewicz

JULIAN STAWIŃSKI

# O FAŁSZERZACH HISTORII

**G**łupotą i brakiem historycznego poczucia nazwał reakcyjny londyński „Economist” spor szkocko-angielski o to, czy królowa Elżbieta nosić ma tytuł „II” czy też „III”. Sam przy tym jest nie bez winy biorąc sprawę tytułów królewskich na serio. Wykształcenie nudzących się nad Tamizą lordów jest zresztą sprawą nieważną. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o poziom umysłu i politycznego działania tych, którzy z ramienia monopolu Ameryki sprawują władzę w największym współcześnie państwie kapitalistycznym.

Obłąkany cesarz rzymski Kaligula mianował swego ulubionego wierzchowca członkiem najwzniekszego kolegium kapłańskiego i konsulem, sobie zaś kazał oddawać część boską i składać ofiary ludzkie. Marzył poza tym, aby cały lud rzymski miał jedną tylko głowę, którą by można ścinać za jednym zamachem.

Obłąkany kapitalizm USA mianował swego ulubionego feldfebla prezydentem państwa, a pokątnego doradcę milionerów sternikiem polityki zagranicznej. Sobie kaze oddawać część boską i składać ofiary w ludziach, przy których błędą wszystkie okrucieństwa starożytności. Marzy o zniszczeniu za jednym zamachem, za jednym wybuchem atomu uranu czy wodoru całej ludzkości i całej cywilizacji świata. Tylko strach przed odwetem i własną zagładą powstrzymuje go od „dokonania dzieła”. I nazywa to „ciągłością tradycji historycznych”, tradycją Waszyngtona i Lincolna.

Na wieść tragiczną z Kremla pochylili się do pół masztu państwowe sztandary Indii i Francji, krajów socjalizmu i krajów kapitalistycznych. Przywódca burżuazji hinduskiej, premier Nehru, złożył hołd temu, który „wielki w pokoju i wojnie bardziej niż ktokolwiek w świecie kształtował i przeobrażał bieg dziejów ostatnich 35 lat”. Najbardziej nawet konserwatywna prasa angielska mówiła o „olśniewiającej historii”. I tylko tepy waszyngtofski żołdak namaszczonym, biblijnym stylem ulicznego kaznodziei wyrażał w takiej chwili wolną i narzuconemu amerykańskiemu władztwu pogardzanym przez siebie narodom. Zapłuty karzeł reakcji — by użyć słownictwa z tych samych faszystowskich koszar — zapomniał, że nie wystarczy usiąść na fotelu Lincolna i Jeffersonów, aby dorównać im autorytetem i miarą. Zapomniał, że w jego własnym kraju miliony pragną pokoju.

Niekczemność bezsilnej głupoty jest najbardziej plugawą.

Wśród wydarzeń wielkich, wydarzeń o skali dziejowej, zwrócić uwagę i na zjawiska małe, a jednak znamienne. Ostatnia nota USA do Rządu Polskiego, zdobna zapożyczonym na użytek Dullesów blaskiem wolności, zapewnia o sympatii dla wolnościowych dążeń wszystkich ludzi i szermuje nazwiskiem Kościuszki, Pułaskiego, Krzyżanowskiego.

GEORGE BIDWELL

# WÓDZ KLASY ROBOTNICZEJ CAŁEGO ŚWIATA

**G**dy myślę o Józefie Stalinie, przed oczami staje mi postać olbrzymia strąająca się z siecią hordy łiliputów atakujących go w daremnych jyskach podważenia jego niezłomnej potęgi. Skojarzenie to nasunęło mi się z dwóch powodów.

Po pierwsze prasa kapitalistyczna czyniła wszystko możliwe aby do roku 1941, aby jomniejszej osiągnięcia narodów radzieckich i niezmiernie znaczenie wpływu Stalina na sprawy międzynarodowe. Ale bohaterka walka narodu i Armii Radzieckiej pod wodzą Stalina przeciwko najeźdźcom hitlerowskim unicie możliwości prasie kapitalistycznej i reakcyjnym politykom dalsze ukrywanie prawdy wspaniałych osiągnięć pierwszego państwa socjalistycznego i historycznego znaczenia strategii Stalina. Ogromny entuzjazm ludu brytyjskiego pogłębił fakt, że z chwilą włączenia się ZSRR do walki międzynarodowe braterstwo klasy robotniczej musiało odnieść ostateczne zwycięstwo.

Po drugie, heroiczna obrona Stalingradu skoncentrowała moje myśli i myśli wszystkich ludzi pracy Wielkiej Brytanii w wojsku czy w cywilu na postaci Stalina, który był jednocześnie symbolem olbrzymiej potęgi Związku Radzieckiego i jego główną siłą dynamiczną.

W okresie triumfu stalingradzkiego byłem w brytyjskiej Osmej Armii w północnej Afryce. Pamiętam, jak żywe były reakcje wśród żołnierzy brytyjskich.

„Rosjanie — mówili — dają porządnie w skórę Hitlerowi, gdy Francja, Holandia, Belgia i Norwegia wspomaganie przez Anglię tchną tylko i poddawają się, dopiero Stalin i jego ludzie uczą nas, jak walczyć z faszyzmem”.

Żołnierze ci czuli, że ich kampania na pustyni, wiążąca za ledwie garstkę sił hitlerowców, nie stanowiła istotnej pomocy w wielkiej walce, toczącej przez Stalina na czele swego narodu. O tym: o konieczności otwarcia drugiego frontu mówiono powszechnie w każdej jednostce wojskowej na froncie brytyjskim w północnej Afryce i w Brytanii. I nie tylko w wojsku. Przypiecieli moi, pracujący w fabryce amunicji, pisali wiosną 1943 r.:

Naród amerykański istotnie rozdzielił się w ogniu walki rewolucyjnej. Tradycje demokratyczne i republikańskie są w nim głęboko zakorzenione. Ale cóż mają z nimi wspólnego konkretny polityczny monopol Wall Street, występujący pod nazwą Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej? „Nigdy z królami nie będziemy w aliansach” — śpiewali polscy żołnierze brygad Pułaskiego walczący o wolność Ameryki. W tym samym czasie Kongres Kontynentalny radził nad pogrzebieniem wolności swego kraju i zawieraniem alians z ginącą monarchią Burbonów — by zerwać go z chwilą, gdy Francja rewolucyjna wzniósłaby wysoko sztandary swobod demokratycznych i niepodległości narodów.

Przyczynę tego zerwania podano wyraźnie: „Ideę rewolucji francuskiej mają mieć zastosowanie u wszystkich ludów, a zatem są zaczęte”, podczas gdy sojusz z Ludwikiem XVI miał rzekomo charakter obronny. Jakże żywe nasuwają się analogie z „defensywnym” paktem Północno-Atlantyckim i teraz o „zaczętości” idei Rewolucji Październikowej, które również mogą mieć przecie „zastosowanie u wszystkich ludów”!

„Jest coś urzekającego w słowie W o l n o ś ć — pisał niejaki William Smith na krótko przed ogłoszeniem Deklaracji. Niepodległości USA: — Opętano umysły pospolstwa ponad wszelką moc przeciwdziałania”. A długoletni sekretarz stanu młodej republiki, John Jay wywołał: „Ci, którzy są współwłaścicielami kraju, powinni nim rządzić. Pospółstwo jest zbyt nieokreślone, by cieszyć się uprawnieniami politycznymi. Miejsce robotnika jest przy waszcie, a farmera za plugiem. Sprawy zaś państwowe, to dziedzina bogatych i szlachetnie urodzonych”.

W niedługim czasie „prawda” Johna Jaya zwyciężyła na całej linii. Z dalekiej Szwajcarii Kościuszko patrzył, jak wała się w gruzy ideały, dla których on sam przelewał krew, dla których zginął Pułaski.

Kiedy po latach w Stanach Zjednoczonych rozgorzała walka o zniesienie niewolnictwa, znów z Europy popłynęli za ocean ochotnicy. Byli wśród nich Polacy, był także wymieniony w nocie USA generał Włodzimierz Krzyżanowski. Przed śmiercią oglądał po latach haniebne widowisko paktu Hayes-Tilden, mocą którego zlikwidowano antagonyzm Republikanów i Demokratów: „liberalni” kapitaliści wydali z potrotem w niewole plantatorów Murzynów Południa w zamian za wsparcie ich władzy nad białymi robotnikami Północy.

Wielki świat \* wielki świat

Naród amerykański zawsze sprzyjał dążeniu do wolnościowemu naroda. Ale rząd USA nigdy, ani razu w historii tego pośpępnego kraju, nie wystąpił w obronie nieczyjej wolności. Eisenhower i Dulles i ambasada w Warszawie nie potrafią wskazać ani jednego takiego wypadku. Natomiast...

miast niezliczone wojny prowadził rząd Stanów Zjednoczonych dla pogrobnienia cudzej wolności. Bronił niewolnictwa na wyspach Antylskich i na obszarze Ameryki Łacińskiej, a gdy te kraje zdobyły wolność, narzucił im twarde jarmstwo swego protektoratu. Z wyjątkiem walki o niepodległość Trzynastu Kolonii i obalenie ustroju niewolniczego w stanach południowych wszystkie wojny prowadzone przez USA były wojnami podboju i agresji. Rząd amerykański zagarnął połowę Meksyku, napadł i podbił Kubę i Filipiny, anektował szereg wysp na dwóch oceanach i sięga coraz dalej i dalej.

Przed ośmiu niespełna laty na zamkniętym zebraniu w New Yorku Harry Truman nazwał ideę przewodnią społeczeństwa Ameryki „naszą filozofią zysku” — our profit-making philosophy. I dlatego — wbrew swemu własniemu credo — Stany Zjednoczone zagarnęły w czasie wojny ostatnie rozległe terytoria na Pacyfiku i liczne bazy wojskowe we wszystkich częściach świata. Z każdego swego kroku w polityce międzynarodowej ciągnął lub starał się ciągnąć jak największe korzyści materialne. Prowadzą krwawą wojnę najeżdżając na Koreę, a pośredniczą i sporadycznych aktów agresji dopuścili się i dopuszczają wobec większości wielkich i małych państw świata. Ich cele są sprzeczne z celami pokojowymi wszystkich narodów nie wyłączając nawet narodu amerykańskiego. Podtrzymując chwycając się władzę faszystowskiego kacyka i konkonsula kapitalizmu w Jugosławii oraz hitlerowskiego samowładcy Hiszpanii. Wspierając reakcyjne rządy Francji i Włoch, ludowi Niemiec zachodnich narzucając władzę monopolu finansowych i esesmanów, narzucili faszizm ludowi Grecji, starając się umocnić jarmstwo kolonialne, uciskające ludy Bliskiego i Dalekiego Wschodu, ludy Indonezji, ludy Afryki, a państwa Ameryki Południowej i Środkowej przekształcały na falandery pracujące dla bankierów Wall Street. Rujując gospodarkę wszystkich krajów, które popadły w orbitę ich wpływu, wyprowadzają władztwo strachu i niedostatku, odcinają dostęp do surowców świata, monopolizując handel światowy i wbrew woli sojuszników czasu wojny dążą do zorganizowania świata na zasadach faszystów, hitlerizmu i agresji wojskowej. Gnębą swój własny kraj i nie jest rzeczą przypadkową, że jednym z trwałych ognisk kłeski głodu są — obok Indii i kilku innych krajów — Stany Zjednoczone. A wszystko to w imię filozofii zysku, która nie jest ideą „przewodnią” społeczeństwa amerykańskiego, ale filozofią żywioła oligarchii finansowej USA.

Jeśli Dulles i Eisenhower w tym upatrują ciągłość tradycji, z których wywodzi się ich rodowód — wówczas mają rację.

Julian Stawinski

Was przesłaliśmy również wyrazy czci dla Waszego Wielkiego Wodza — Józefa Stalina”.

Nic więc dziwnego, że na wieść o śmierci Stalina do ambasady radzieckiej w Londynie zaczęły nabywać setki i tysiące depesz i listów od mieszkańców Wielkiej Brytanii, dominiów i kolonii. Dawni żołnierze, robotnicy fabryczni, dokerzy i marynarze, rolnicy, urzędnicy, łączący się w grupy po dziesięć, kilkadziesiąt lub sto osób, pisali zbiorowe listy o swoim smutku i ubolewaniu dla Józefa Stalina.

Do tych osobistych wyrazów żalu ludu brytyjskiego dołączyły się oficjalne wypowiedzi związków zawodowych i innych organizacji. Sekretarz generalny liczącego 500.000 członków Związku Kolejarzy Brytyjskich James Figgins pisał:

„Towarzysze Staline, zawdzięczamy wiele Twemu kierownictwu, a nade wszystko niedy wśród nas nie wygasła. Pamięć o Tobie będzie zawsze drogowskazem dla całej ludzkości”.

A uczniom całej klasy robotniczej dał wyraz Harry Pollitt, generalny sekretarz Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii:

„Ożywiony myślą o Józefie Stalinie planuję będzie nadal w sercach milionów ludzi na całym świecie raz gorętszej jeszcze niż dotychczas całej przyspieszenia dnia, gdy będą spełnione wszystkie cele i pragnienia, którym poświęcił całe swoje życie towarzysze Stalin”.

W ten sposób lud pracujący Wielkiej Brytanii wyraził swój żal manifestując spontanicznie i szczerze swe uczucia przywiązania, szacunku i uwielbienia dla Józefa Stalina. Uczucia, które zrodziły się w okresie międzynarodowej wojny przeciwko faszyzmowi, w czasie której jaśniała wielkość i męstwo Józefa Stalina, a dojrzały w toku kierowniczej przez niego powojennej walki o pokój. Lud brytyjski rozumie, że Józef Stalin był przyjacielem i wodzem nie tylko narodów radzieckich, lecz także robotników całego świata, że był człowiekiem, którego życie było poświęcone sprawie pokoju i zgodnego współżycia wszystkich narodów.

George Bidwell



IRENA SCHEUR

# W KRĘGU BRZEZIŃSKIEJ ŚWIE TLICY



się do miejscowej problematyki, atakują może kulaków, rozpoczynają walkę o dobre imię gminy Dobrzelin i powiatu.

Schodzą się i starsi chłopcy. Rej wodzi średniak Łukasik, kierownik świetlicy, mały, ruchliwy, żywy jak srebro chłop.

Mamy odbyć wspólną dyskusję nad książką Stanisława Piętaka poświęconą ludziom, których poważnie i skupione twarze rysują się niewyraźnie w migocącym świetle naftowych lamp.

Przewodniczący koła gromadzkiego ZSCH Golisz stwierdza nieco urzędowym tonem, że książka Piętaka znacznie ożywiła pracę kulturalną brzezińskich. Soltys Sędkowski mówi niemal uroczysto, jak mu się strasznie podobała.

Nie zanosiło się na ciekawą dyskusję. Sędkowski chwalił autora za prawdziwość. — Wszystko się w książce zgadza co do joty, co mo-

pierwszy na polach województwa łódzkiego kombajn. Gromada podniosła się materialnie przez zwiększony wysiłek i osiągnięcia produkcyjne. Brzeziny były zawsze w międzywojennych latach przeludnione. Dziś każdy hektar pracuje przeciętnie na 1—2 osoby. Nadwyżkę do zbycia, już z racji samego odpływu zbędnych do miasta, jest znacznie mniej. Pewien brak rąk do pracy spowodował ową „rewolucyjną maszynową” w gromadzie.

Ale zasadniczą rewolucję wywołał zwykły, najzwyczajniejszy burak! On to wprowadził — aż nieprawdopodobnie brzmi — starszych chłopów do świetlicy. Dzieło cukrowni w Dobrzelinie!

Małżeństwo Sędkowskich to młodzi jeszcze ludzie, oboje po szkole rolniczej, stworzyli grupę plantatorów buraka, od 1951 roku wraz z innymi prowadzi poletko doświadczalne. Grupa odwiedza ośrodki mierznińskie w Skierniewicach, oglądała przodujące osiągnięcia rolnicze w Podgrodziu. A nade wszystko po-



że każdy z obecnych tu zaświadczy...

W tym momencie bomba pękła. Wstał nagle spokojny — zdawać by się mogło — chłop i zawołał:

— Diable tam prawdę pisał! Pośmiewisko to mnie zrobił, że się niby maszyn boję! A kto wojował za ośrodkami maszynowym w gromadzie i do buraków się zapisał jak nie ja!

Dyskusja została poważnie zakłócona tym nagłym wystąpieniem i właściwie w oficjalnej części zakończona. Odnosiłam wrażenie, że Łukasik, Sędkowski, a nawet część młodzieży obawiała się, że ów nieprzewidywany głos wywarł na mnie jak najgorsze wrażenie i zapewne odbije się ujemnie na moim raporcie.

Pięta pisał prawdę o chłopie, który bał się maszyn. Nazwiska nie wymieniał, przemilczał je i ja. Lecz dyskusja odbywała się po przeszło roku. Wielka to przestrzeń czasu w dziejach Brzezin. W kilkanaście miesięcy gromada przeszła taką drogę, jaką przechodził chłop od lęku przed traktorem do zachwytu nad nowoczesną techniką rolną.

Od roku 1951 rzeczywiście rozrósł się poważnie ośrodek maszynowy. Nikt w Brzezinach ręką nie sieje, rzadko trafia się kosa w czas żniw. Są tacy, zwłaszcza średniacy, którzy przysiadali się uważnie pracy traktorowej w Sleszynie, ba! — nawet do Bedna latali zobaczyć

wstały przesłanki do założenia zespołu czytelników o wyraźnym pochyleniu zawodowym. Zespół w pierwszym roku swego istnienia w ogóle do literatury pięknej nie zaglądał, studiował natomiast pilnie uprawę buraków, rzepaka i rzepiku. Tak więc burak zaprowadził brze-



ziniaków do świetlicy. Stąd też owo świetlicowe spotkanie starych z młodymi. Ale — zgodność nastąpiła w sferze repertuaru. Starsi gospodarze chętnie akceptowali ów „pozytywistyczny” zakres repertuaru, a nawet przejęli kierownictwo artystyczne przez Łukasika.

Łukasik pokazuje mi z dumą dyplom, jaki otrzymał za wzorową patriotyczną postawę w wykonywaniu obowiązków wobec państwa. Ten 10-hektarowy średniak jest naprawdę sumiennym i wzorowym gospodarzem.

W czysto utrzymanym pokoiku — prywatna chłopska biblioteka! Polscy pozytywiści — Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, Konopnicka, pomieszczeni — pół na pół — z książkami rolniczymi.

Brzeziński średniak spokojnie wyjaśnia mi politykę repertuarową świetlicy. Zespół dobrego czytania, oparty na lekturze rolniczej, będzie działał jako podstawa. Nowe uprawy trzeba wprowadzać, rentowność gospodarki podnosić. Państwu jak najwięcej oddać. Wszystko, co mówi, jest w zasadzie słuszne, ale... słuchajmy dalej.

— Orzeszkowa dlatego, bo po pierwsze pisarka znana, a ludzie lubią pisarzy z dobrą i starą marką. Najlepszy dowód, że wszyscy czytają głównie pozytywistów. A po drugie — oni głosili postęp, bo nienawidzili dworu — zapewni mnie Łukasik. Średniacy brzezińscy dobrzy gospodarze, przodownicy gromady, zamierzają grać wszystko, co skierowane jest przeciwko dworowi. Nie brakowało przecież obszarników w dobrzezińskiej gminie.

To „pozytywistyczno-średniackie” nachylenie w repertuarze świetlicowym, wyrażające się w przeróbkach i adaptacjach tekstów klasyki, widoczne jest również i w czytelnictwie, gdzie do współczesności wciąż jeszcze daleko. Biblioteka w Brzezinach liczy ponad 300 tomów. Najpopularniejsi pisarze? Prus, Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz. Oni byli postępowi — zapewni mnie młody bibliotekarz Rómek Golisz, wierzili w sprawiedliwość społeczną.

Ale można już dostrzec wyraźne zwiastuny następnego etapu. Oto w lekturze przewidzianej na bieżący etap konkursu czytelniczego odnalazłam książki radzieckie — „Zorany ugor” i „Opowieść o prawdziwym człowieku”.

Frankiewicz, który odprowadzał mnie do stacji kolejowej, nie pytał o to, snuł rozmaite plany na przyszłość. Chłopcy mają zamiar ułożyć rewii lokalną, gdzie znalazły by się najbardziej palące sprawy

dobrzezińskiej gminy. Trzeba się dobrać kulakom do skóry — oni nam psują opinię w powiecie — powiedział — zaprosić do nas koniecznie agitatorów z Bedna, takiego Gołbiewskiego...

Irena Scheur

JÓZEF RATAJCZAK

## NAD PARTYJNĄ GAZETĄ

BYLEMU ANALFABECIE

W światła jasnego łuku  
twarz pochylasz skupioną —  
drżącą prowadzisz dłonią  
oczki po liniach druku.

Na twoich skroniach starych  
trochę zadumę rozpina.  
Czytasz. Późna godzina  
w okna gwiazdami patrzy.

Dziś — po wielkim odkryciu  
już nie chodzisz na ślepo. —  
Nad partyjną gazetą  
myślisz o swoim życiu.

I palce wstrzymujesz drżące,  
sens słów badając z uporem...  
Uczysz się długim wieczorem  
żyć coraz lepiej i mądrzej.

## DROGA WIEJSKA

...Na tej drodze nie rośnie już szalej  
ani trawy nie rosną wysokie —  
pod chatami chcą chociaż ocalać  
i do niskich wspinają się okien.

Po tej drodze już wiatry nie wieją  
i nie noszą burzliwych zamieci —  
idą po niej ludzie z nadzieją,  
idą sobie z pomocą naprzeciw.

I w tłumoku nie dźwięki w świat pieśni  
wiejski biedak wygnany z chaty —  
stąd po drogi równej nawierzchni  
jedzie młodzież do miasta się uczyć.

Za lat kilka powróci z powrotem  
wioząc traktor, lekarstwa i książki —  
w izbach światła rozbłyśną złote,  
aby jasność w mrok życia włączyć

Nad tą drogą od miasta światła,  
dzień się zbliża słoneczną tęczą...  
— Dostał ziemię wolny najmita,  
znalazł pracę i człowieczeństwo.

LESZEK CYRZYK

# Epopeja zwycięskiej walki

(O powieściach A. Zapotockiego)

D NIA 21 marca czechosłowackie Zgromadzenie Narodowe wybrało wybitnego działacza politycznego i pisarza — Antonina Zapotockiego na Prezydenta Republiki Czechosłowackiej, który poprowadzi ją dalej Gottwaldowską drogą. Piękna to tradycja, że wielcy wodzowie światowego ruchu robotniczego spisuja swoje bogate doświadczenia życiowe i w ten sposób zwracają je ludowi, z którego wyrosli. Nie mówiąc już o klasykach marksizmu, jakież ogromne znaczenie wychowawcze posiadają życiorysy i pisma Bieruta, Dymitrowa, Thaelmanna, Thoreza i innych. Każde z tych dzieł można rzeczywiście przyrównać do wygranej bitwy; każde z nich staje się kompasem w walce szerokich mas ludowych na całym świecie, każde przynosi bogaty materiał do życiorysu ukochanych przez lud przywódców. Słowa powyższe z niemieńską słusznością odnieść można do powieści Antonina Zapotockiego, z których w polskim tłumaczeniu ukazały się dotąd dwie — „Przyjdą nowi bojownicy”<sup>1)</sup> i „Burzliwy rok 1905”<sup>2)</sup>. Można je odnieść do nich tym bardziej, że obecny prezydent Czechosłowacji przez całe swoje życie miał zgola inne powołanie, aniżeli zajmowanie się pisaniem powieści. Jakież więc przyczyny złożyły się na powstanie książek Zapotockiego? Autor zwraca się z nich we wstępie do pierwszego tomu epopei: „Przed wszystkim chciał mi o to, że chcę tu dać odpowiedź tym wszystkim, którzy opowiadają nam ciągle o „pięknych, starych, złotych czasach”. Chcę tu pokazać, jakie to czasy były wtedy naprawdę, kto, jaka klasa społeczna mogła uważać tamten okres za „złoty”. „Chcę dać odpowiedź tym, którzy wychwalają „wolność” pamięć dawnej burżuazji”. „W końcu chcę naszym robotnikom, towarzyszyom i młodzieży, tym, którzy często powtarzają, że właściwie nie się nie zmieniło, tym, którzy w swoim gadatliwym radykalizmie chcieliby od razu buki z szynką — chcę im pokazać, co się naprawdę zmieniło, ile trzeba było trudu i ofiar, żeby wreszcie do tej zmiany doszło”. A zatem zrodziły epopeję Zapotockiego żywe potrzeby żywej klasy robotniczej.

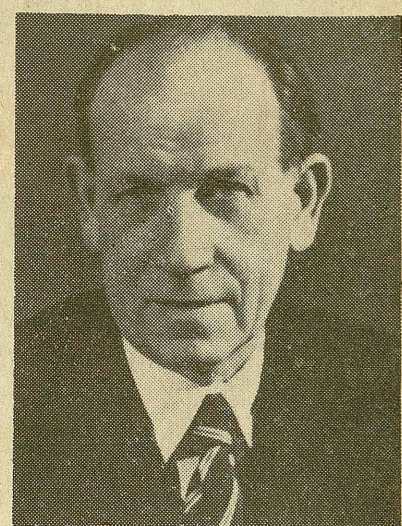
Opowieść „Przyjdą nowi bojownicy” oparta została na materiale pamiętnika ojca autora, Władysława Zapotockiego Budeczkiego, jednego z pionierów socjalizmu w Czechach oraz na kanwie własnych wspomnień pisarza. Akcja dotyczy początków ruchu robotniczego w Czechach. Władysław Zapotocky w szerzenie idei socjalistycznych został w słynnym antysocjalistycznym procesie praskim z grudnia 1881 roku zasądzony na 18 miesięcy więzienia. Po odsiedzeniu kary muszono go do opuszczenia Pragi i do zamieszkania w jego rodzinnej gminie, w Zakolanach. Znalazłszy się w środowisku wiejskim Zapotocky nie zaprzestaje działalności socjalistycznej. Całą swoją energię zwraca w kierunku uświadamiania biedoty wiejskiej. Autor z dużą prawdą wyrazu artystycznego pokazuje narastanie świadomości klasowej na czeskiej wsi, przedstawia wszystkie etapy trudnej walki o organizację rewolucyjną.

I tutaj znakomicie sprawdza się teza Lenina o żywiołowym ciążeniu mas pracujących ku socjalizmowi. Wbrew narzucaniu masom ideologii klasy panującej ich świadomość socjalistyczna stale rosła. Zdecydowana postawa proletariatu przynosi pierwsze sukcesy. W lecie 1897 roku lud pracujący Austrii wziął po raz pierwszy udział w wyborach 14 socjaldemokratów wybrano do parlamentu. Nad Zakolanami powiewa czerwony sztandar i nikt nie odważy się go zerwać. Pod nim zgromadzenie socjalistyczne donosiłym głosem śpiewa:

„Hej, na pokład, chłopcy,  
płynijmy choćby w otchłań,  
nasz sztandar nigdy nie utonie,  
choćbyśmy padli wszyscy.  
Przyjdą nowi bojownicy,  
zabiorą sztandar czerwony.”

Druga część epopei Zapotockiego sięga po temat rewolucji 1905 r. w Rosji i jej oddźwięku wśród czeskiej klasy pracujących. Także i ona wyrasta z żywych potrzeb klasy robotniczej, gdyż — jak mówi autor — „zaczęła roku 1905 nie oceniono jeszcze u nas należycie ani pod względem historycznym, ani politycznym. Rok ten ciągle jeszcze czeka na tę ocenę”. Można śmiało stwierdzić, że książka Zapotockiego zdecydowanie przetrąca jej autorską samocenną jako „skromnego i drobnego przyczynku”. Wprawdzie wypadki 1905 r. ukazują na przykładzie zbiorowiska przedstawicieli różnych klas społecznych w jednej kamienicy czynszowej na Żiżkowie, dzięki jednak trafnej typizacji postaci i zdarzeń posiada znaczenie całociągłego obrazu.

Rok 1905 wykazał, że reformistyczna socjaldemokracja czeska nie jest w stanie poprowadzić mas



do rewolucji. W chwili kiedy lud pracujący podejmuje samodzielną akcję polityczną, reformiści socjaldemokratyczni i burżuazyjni politycy podają sobie bratnią dłoń. Rewolucja upada. A jednak nie można mówić o jej całkowitej klęsce. Walka nie była bezowocna. Wydarzenia rewolucji 1905 r. zezwalały na wyciągnięcie wniosków niemałej wagi: „Nastroje rewolucyjne — mówi Tonik — to za mało. Dobra wola i determinacja mas, to także jeszcze nie wystarczy. Musi być rewolucyjna partia i rewolucyjni wodzowie. Bez rewolucyjnej partii i wodzów sama rewolucja nie zwycięży”. I nie tylko to „Ludzie muszą i nie mogą tych przywódców i muszą im wierzyć. Jeżeli ludzie mają poddać się czystemu kierownictwu, muszą wierzyć, że ten ktoś prowadzi ich dobrze. Dlatego partia rewolucyjna musi wychować swoich rewolucyjnych przywódców”. Te wnioski, to realne zwycięstwo burzliwego roku 1905. A jednym z takich wymarzonech przez lud przywódców stał się właśnie Antonin Zapotocky.

Kiedy w r. 1948 ukazała się pierwsza książka A. Zapotockiego, została ona zgodnie powitana przez czeską krytykę jako wielkie wydarzenie w życiu literackim Czechosłowacji. Wydanie następnych dwóch tomów nie przyniosło rozczarowania. Wręcz przeciwnie. Oceny pozytywne przybywały. W czym tkwił tak wielki sukces dzieła Zapotockiego? Niewątpliwie w tym, że jest ono dojrzałym tuwarem realizmu socjalistycznego. Silną stroną pisarstwa Zapotockiego jest właśnie to, co w większości wypadków stanowi — słabą — stronę współczesnych pisarzy, zwłaszcza pisarzy młodej generacji. Tym głównym pozytywnym jest nie powierzchowna, ale gruntowna i wszechstronna znajomość życia i jego konfliktów. Ponieważ znajomość tę mógł autor poprzec wielkim talentem obserwatorskim oraz płynną i barwną narracją, powstało dzieło niepośledniej miary. Tam, gdzie powieści współczesne rażą swoją nieporadnością, sztucznością, a ich bohaterowie „papierowością”, utwory Zapotockiego uderzają swoją głęboką prawdą życiową.

Jest jeszcze druga przyczyna, dla której powieści Zapotockiego zyskały sobie wielką popularność wśród czeskich czytelników. Stanowi ją umiejętność nawiązywania do najlepszych narodowych tradycji literackich. Przede wszystkim do pisarstwa A. Jiraska. Ale nie tylko do niego. Powieść „Przyjdą nowi bojownicy” skupia w sobie cały bogaty nurt czeskiej prozy o wsi i zarazem podnosi ją na nowy, wyższy etap. Wielcy demokraci przeszłości, mistrzowie czeskiej prozy o wsi kończą swoje piarstwo na progu socjalizmu. Kończą je głęboką wiarą w wyzwolenie wsi z klasowej przemocy i ucisku. Zapotocky przyobleka nadzieje w czyn. A w ten sposób otwiera nowy rozdział w rozwoju czeskiej powieści o tematyce wiejskiej.

Z drugiej strony dzieło Zapotockiego otwiera także nowy rozdział w rozwoju czeskiej prozy historycznej. Podobnie jak Kratochvíl w prozie o wsi, tak Jirasek w twórczość historycznej stanął u progu socjalizmu. Zapotocky ukazuje, jak wzbogacił się charakter narodowy Czechów na etapie kiedy na arenę dziejową wstąpiła rewolucyjna klasa robotnicza. Wierne Jiraskowskiej tradycji pokazał Zapotocky, że ostatecznie zwycięża ten, kto łączy swoje potrafi z łączy z dążeniami najszerzych mas ludowych. Staje się w ten sposób dzieło Zapotockiego manifestem niezwykłej siły i potęgi ludu.

W przedmowie do pierwszej części cyklu autor stwierdza, że książka jego to „ani powieść, ani dzieło historyczne”. Z większą dozą słuszności można by powiedzieć, że jest i jednym i drugim. Epopeja obok fabularnego, powieściowego wątku, który w niej przeważa, przynosi wyjątki z pamiętników (np. tkacza J. Rezlera lub Władysława Zapotockiego), wyjątki z prasy ówczesnej, z akt sądowych („Wielki antysocjalistyczny proces”), opowiadania oparte na autentycznych wspomnieniach („Pionier socjalizmu Józef Fiszer”) itp. Powstaje w ten sposób niejako barwna mozaika o charakterze powieściowym i o znaczeniu dokumentu historycznego.

Leszek Cyrzyk

Kończy się zebranie ZMP-owskie. Za oknem szarzeje brzeziński świat, niktą powoli drzewa w mroku, jeszcze chwila a w małych okienkach chat zabłyśnie światłość. Któryś z młodych zapala naftową lampkę. Za chwilę próba rewii — „Dla każdego coś miłego”.

Słychać harmonie, do świetlicy wchodzi kol. Trojanowski, chłopak rozmówczony w muzyce i pracy świetlicowej. Młodzi wspominają z dumą przedstawienie „Grubych ryb”. To był ich największy sukces. Pracują nad programem składanym w ZMP-owskim — „Po Złocie przy robocie”, zamierzają wystawić łącznie ze starszymi „Niziny” Orzeszkowej lub „Na ratunek” Sempołowskiej.

Rozpoczyna się próba. Słychać piosenki śpiewane przez „Mazowsze” i najbardziej znane — radzieckie, wiersze Brzechwy, Kerna, jednoaktówka pt. „Sad Wawrzyńca”. Znalazł się nawet pan Teoś Piecyk, drobniomieszczański bohater felietonów Wiecha.

Zastanawiam się nad kierunkiem rozwoju repertuaru świetlicy. Skępe, sztuczki z okresu okupacji, „Grube ryby”, „Niziny”, wreszcie rzadziej — utwory współczesne, głównie wiersze, piosenki.

Przyglądam się uważnie młodym. Mylił by się ten, kto by sądził, że młodzież, która z rozmaitych względów pozostaje po skończeniu szkoły podstawowej na ojczystym, musi być koniecznie mało energiczna, niemrawa, zahukana. Taka co nosa poza rodzinną gminę nie wyściubi, a wyobraźnia nie sięga wyżej powiatu. Organizacja młodzieżowa o tarta młodych brzezińców po krąg. Byli na Złocie Młodych Przodowników, zabierali się z rozmaitymi wycieczkami do wielkich miast, oglądali niemal zespołów świetlicowych, skąd się dało, zwozili „numery” do repertuaru. Niestety zarażili ich „Artos” swoimi nie najlepszymi produkcjami, urządzanymi w powiatowych miastach.

Z czasem ci entuzjaści rewii, krótkich form scenicznych doborą



# czytelnictwo — NA OPOLSZCZYŹNIE — dyskusje

MONIKA WARNEŃSKA

## Z notatnika opolskiego



rywają, zaciekałają, nikt tych książek nie udostępnił, sami zaś do trzech do nich nie potrafią.

16.X. Kędzierzyn. Inne środowisko, inny krajobraz, inny oddech aktualnych spraw. Wśród słuchaczy (sala pełna) przeważają robotnicy miejscowych zakładów. Najważniejszy z nich — to potężny kombinat chemiczny, popularnie zwany „Azotami”, jedna z wielkich budowli socjalizmu.

— Czytałem niedawno powieść Wandy Wasilewskiej — „Rzecz płać” — zabiera głos pierwszy dyskutant. — Podobają mi się bardzo, bo sam byłem żołnierzem i walczyłem na tutejszej ziemi. Ale gdyby przyjechała do nas autorka, powiedziałabym jej, że mam żal o jedno: dlaczego każeła swym bohaterom zatrzymać się nad Odrą, a nie poprowadzić ich dalej, nad Nysę, gdzie walczyli II Armia, a z nią generał Świerczewski? Myślę, że gdyby tak właśnie książkę uzupełnić, byłaby ona jeszcze lepsza.

Wstaje niemłody mężczyzna w kolejarzskim mundurze:

— Wiadomo, że pisano książki o ludziach różnych zawodów. Są już na przykład powieści o hutnikach i o górnikach. Ale jakoś nie słyszałem, żeby kto napisał książkę o kolejarzach, a przecież nasza praca i ciężka jest, i ciekawa, i potrzebna...

Okazuje się, że wiele pozycji beletrystycznych, które na tutejszym terenie byłyby niezwykle potrzebne, bez wątpienia uzyskałyby pożyteczność — wcale do Kędzierzyna nie dotarły. Nikt nie zna powieści Wilczka i Mariana Brandysa. Nawzajem Morcinka jest znane i popularne. Kędzierzyn lubi jego książki, ale jeden egzemplarz „Pokład Joanny” nie wystarczy. Nieznana jest powieść Morcinka o partyzantce AL w Beskidach: „Urodzaj ludzi”.

Pada z sali pytanie dotyczące książek o pokojowym i przyjaznym współżyciu. Polski Ludowej z Niemiecą Republiką Demokratyczną. Nie dotarły tu jeszcze „Młode Niemcy” Osmańczyka.

— Zestaw książek do bibliotek są nam dostarczane centralnie — mówi nauczycielka, pełniąc zarazem funkcję bibliotekarki. — Nie raz otrzymujemy książki zbędne, np. wycofane już z obiegu podręczniki szkolne, które bezpożytecznie zalegają w półkach.

Młoda dziewczyna mówi: — Prosiłabym o książki z materiałami świetlicowymi takimi, jak łatwe sztuki, inżynieria, pio-

senki, wiersze. I jeszcze jedno — nieraz w gazetach i czasopiśmie są drukowane różne utwory, które można by wykorzystać na wieczornicach lub akademiach — ale co z tego, kiedy zamieszczane są one wtedy, gdy przypada jakaś uroczystość albo rocznica. Gdyby tak drukować je wcześniej, byłby czas na ich wyuczenie się.

Wstaje następny dyskutant: — Tu mówiło się o powieściach, a nikt nie powiedział o reportażach. Różne reportaże czytamy w czasopiśmie, a o naszych „Azotach” nikt jakoś nie pamięta. A można by przecież o tej fabryce całą powieść napisać!...

\*

17.X. Wieś Rozmierka w powiecie strzeleckim. Serdeczne powitanie — lecz dyskusja początkowo nie kłesi się. Nadgorliwe czynniki miejscowe „przygotowały” do niej dwunasto- lub trzynastoletnią dziewczynkę, która „zgłasza się do dyskusji” po to, by jednym tchem wyrecytować podziękowanie za nasze przybycie, obietnicę, że młodzież tutejsza nie zawiedzie nadziei, jakie w niej położyli pisarze polscy itd. itd.

A czytelnictwo? „Niezawodne” w wielu miejscowościach pytanie o książki Morcinka trwa razem zawodzi. Po dłuższej chwili odzywa się czysty niepewny głos. — „Pokład Joanny”, tak, czytał kiedyś parę „kawalków” tej powieści w „Dzienniku Zachodnim”. Książkowe wydanie tu nie dotarło.

Próbujemy inaczej: Jakże książki chcielibyście czytać? Po chwili wstaje niemłody, siwy mężczyzna. Jest to syn tutejszej ziemi, kierownik szloty w niedalekiej wsi Osiek, Jan Mróz. Przemawiając piękną gwarową polszczyzną wydobyla on na światło dzienne pasjonujące wydarzenia, zwraca uwagę na problemy zaniedbane lub nieznane zgola, które ożywiły winny pod piórem pisarzy:

— Warto sięgnąć chociażby do historii naszego powiatu i zainteresować się starymi kronikami, dokumentami po plebanach i klasztorach, ot, chociażby niedaleko, w Rozmierku lub Jemielniku. Warto pogadać ze starymi, którzy przyszli nie mogli tu dzisiaj, bo im już siły nie stały. Wiele powiedziałoby na przykład 80-letnia kobieta, która wsiadła do Strzelca wędrowała do miast, by pracować za marne fenigi o suchym chlebie. Trzeba napisać, jak lud opolski bronili swego języka wtedy, gdy Bismarck uślawami i przekupstwem chciał do-

prowadzić do tego, by Opolszczyzna wyrzekała się swojej mowy. A jakby się dalej cofnąć, to przecież można by napisać, jak za „Fryca” Fryderyka Wielkiego nawiedziła nasze okolice straszna klęska głodowa. Ludzie żyli wtedy w kora drzewna, brakowało desek na trumny, więc chłopcy zbierali je ze sztachetek i zahaczali się o ramiona, wielki swoich zmarłych na cmentarz. Wtedy król przysłał na Śląsk Opolski komisję lekarską nie po to, żeby ratowała ludzi, tylko po to, żeby przygotowała sprawozdanie. I tu Ślązaków poszło do ziemi i ilu na ich miejsce można przysłać kolonistów z głębi Niemiec! A lata międzywojenne? A przesiedlanie bibliotek polskich? A wojna, podczas której wielu naszych synów i braci przemocą zawleczono na front? O tym wszystkim piszcie, na takie książki czekamy!

\*

19.X. Zapadła wieś Uciszków koło Pawłowiczek. Po jednej stronie sali siedzą starsi mieszkańcy, posiwiali: wiekowi Po drugiej — dzieci szkolne, gdzieś na tyłach tłoczy się młodzież. Atmosfera życzliwa, lecz pytania dotyczące czytelnictwa z trudnością spotykają oddźwięk. Przyczyna prosta — wyjaśnia nam ją wstępująca prośba jednego z obecnych starszuchów: „Przysyłacie nam kalendarz taki, jakiegoś tu przez całe lata dostawali z „Nowin Raciborskich”. Czym był kalendarz polski dla Mazur, Warmii, Opolszczyzny, wie dobrze każdy, komu nieobca jest historia tych ziem. Do miejscowości takich, jak Uciszków, zbyt mało trafia obecnie książek prostych, przystępnych, pisanych jasno, zrozumiale. Znamieniami jest prośba z sali o przysłanie książki Sienkiewicza. Tu, do Uciszkowa, powinny trafić przede wszystkim tanie wydania Orzeszkowej, Krasińskiego, Konopnickiej...

19.X. Huta szkła w Murowie. Wśród załogi — wielu młodych. U słyszący, że przybyli pisarze zajmujący się tematyką młodzieżową, sekretarz Partii pyta:

— A nie chciałby kto z literatów napisać reportażu o naszej młodzieży? Bo i my, tak jak ci, o których nam opowiedzieliście, mamy tu, w hucie, brygady młodzieżowe, które w trudnym momencie, jak plan był zagrożony, podjęły swoich przykładem załogi.

Młoda robotnica, należąca do zespołu świetlicowego przy hucie, prosi o materiały repertuarowe. Ktoś pyta o łatwą do zagrania sztukę na temat opolski (jest już taka sztuka piosenki Michała Rusinka). Proszą o „Młodą Gwardię” Fied-



jewa, o przyjazd Morcinka i o jego książki. Są wśród młodych amatorzy kukulek, którzy proszą o książki i pisma dotyczące teatru kukielkowego.

\*

20.X. „Rafamet”, fabryka metalowa w Kuźni Raciborskiej. Słuchaczy zjawiało się sporo, dyskusja ciekawa, pytania liczne i rzeczowe. W spotkaniu uczestniczy przedstawiciel opolskiego „Domu Książki”, który skrzętnie notuje pytania słuchaczy i odpowiada, pisarzy, a potem zabiera głos wyjaśniając, które z książek, o jakich była mowa przed chwilą, można będzie otrzymać. Padają pytania o „ciekawą” powieść, o „zajmujące” książki.

— Czy ktoś z literatów nie napisałby o naszej fabryce? Dużo ciekawych rzeczy mogłoby opowiedzieć tacy robotnicy, co tu pracują 30 albo 40 lat i pamiętają dawnych właścicieli, Hegenscheidta i Schondorfa?

Przytakuje szmer na sali. Wstaje niemłoda robotnica: — Ale jakby tak kto chciał pisać o „Rafamecie”, to i o naszych kibelach trzeba pamiętać. O tym, że mamy żłobek i przedszkole, jakiego za fabrykantą nie było!

Gdy spotkanie dobiegło kresu, zatrzymuje nas siwy starzec w drelichowym kombinzonie. Jest to siedemdziesięcioletni działacz robotniczy, Karol Okoński. Długo lata żył w Berlinie, pracował w rewolucyjnej prasie niemieckiej, znał Różę Luksemburg, Marchewskiego, Thaelimann, spotykał często Pieckę. Zgłasza on gotowość podzielenia się z pisarzami zasobem swych bogatych wspomnień.

21.X. Spotkanie z załogą fabryki włókienniczej w Prudniku, wśród której przeważają kobiety. Sala zapelniona liczną, atmosferą pełną zainteresowania i życzliwości, lecz dyskusja się nie udaje. Trudno tu iść do czytelnictwa i robota kulturalno-oświatowa. Trzeba by jeszcze raz przyjechać do kobiet prudnickich, które rosną i dojrzewają w pracy jak te, o których opowiadał

pisarz. Ale trzeba by przedtem gruntownie przygotować dyskusję, „podrzucić” z góry trochę książek o awansie społecznym kobiet w Polsce Ludowej.

Wieczorem jedziemy do Głogówka. Teren trudny, mocno podminowany wpływami wrogiej rewizjonistycznej propagandy. Wbrew oczekiwaniom — sala miejscowego kinna pełna po brzegi (700 osób wśród nich dużo młodzieży). Z nadspodziewanym zainteresowaniem obecni słuchają o utworach literackich, związanych z tematyką walk narodu polskiego przeciwko faszystowskiemu okupantowi. Na tym „trudnym” terenie młodzież wychowuje „Młoda Gwardia” Partiejewa i „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego.

22.X. Daleko, o samej granicy nad Nysą, leży wieś Dziećwilec. Znacząca część jej mieszkańców, to przesiedleńcy z centralnej Polski. Znajdujemy tu amatorów „Zorane-go ugoru”. Młoda kobieta z dzieckiem na ręku mówi serdecznie o „Ziemi w j. „zmie” i o „Ojczyźnie”. Proszą nas koniecznie o „Macoche” (Kraszewskiego). „bo to ciekawe strasznie i spłakać się nad taką książką można”. Pragną książek, dotyczących wychowania dzieci. Młody chłopak wstaje lekko zadowolony z pytaniem: „Jak właściwie powstaje książka? Jak się pisze powieść?”

Dziećwilec kończą nasz 10-dniowy objazd. Nocą wracamy do Warszawy.

Czy miał rację fachowiec, znawca czytelnictwa, z którym rozmawiałem przed wyjazdem? Myślę, że nie. To prawda, że rozwój czytelnictwa na Opolszczyźnie, dużo jest szcze pozostawia do życzenia. Ale nie jest prawdą, że mieszkańcy tamtejsi nie chcą czytać. Czekają na wiele roboty, trzeba biec się o dostarczenie Opolszczyźnie przede wszystkim tanich wydań klasyków naszej poezji i prozy: Mickiewicza i Kochanowskiego, Sienkiewicza i Orzeszkowej, Krasińskiego i Konopnickiej. Trzeba czuć, że niedługo (Dokończenie na str. 7)

STANISŁAW PAZDAN

## SEPICE — TRUDNA WIEŚ

PROSZĘ wyobrazić sobie taką sytuację: przeniesiono nas (zonę i mnie), dwoje nauczycieli do gromady Sepice, pow. Brzeg, woj. Opole. Na 8 gromad gminy 6 posiada już spółdzielnie produkcyjne, widać dookola polityczne i gospodarcze ożywienie chłopów, a my — jak na złość wpadliśmy w kuśka, albo co najmniej bardzo podkuloną wieś. Skąd taka gromada na Ziemiach Odzyskanych?

Nie mogliśmy początkowo tej sytuacji zrozumieć, nie mogliśmy też prowadzić należytej pracy kulturalnej ani w szerszym terenie ani nawet w samej szkole.

Skąd taka zakuciżona gromada? Oto pytanie, na które nie mogliśmy sobie przez dłuższy czas w pełni odpowiedzieć. Opinia GRN? Tam powiadają, że to najlepsza gromada w gminie, przoduje rokrocznie w dostawach obowiązkowych wobec państwa, a nawet je przekracza. I politycznie dobra. Na 1-szy Maj, Święto 22 lipca sepicianie prowadzą pochody, rzepolą na skrzypcach i dmą w trąby.

A przecież widzieliśmy wyraźnie, że gromada jest kulturalnie zacofana. Świetlica zniszczona, spotykaliśmy jeszcze analfabetów, nie było nawet mowy o zespołach artystycznych, czytelniczych, czy nawet jakimś przemysłowym czytelnictwem indywidualnym. A politycznie? Na zebranie w sprawie przedyskutowania statutu spółdzielni, jakie zwołaliśmy nikt nie przyszedł. Chłopi spoglądali na nas spodebła, wyraźnie niezadowoleni, że usiłujemy wyrwać ich z dotychczasowego trybu życia.

Sepicianie doszli do przodownictwa w sposób niezwykle prosty. Obojętnie ciągną się na przestrzni kilkuset hektarów piękne łąki. Było to kiedyś lotnisko, z którego startowały samoloty radzieckie i polskie, które niszczyły ostatnie gniazda oporu faszystów. Trawa jest naprawdę słodka. Lecz ktoś ją kosi, sprzedaje? W tym cały sekret, klucz do poznania procesu kulturalnego i równocześnie, związanego z tym cofania się politycznego i kulturalnego gromady.

Czy rozumiecie, co to znaczy kiedy 5-hektarowy chłop używa drugie tyle pięknych łąk, a nie pla-

ci ani grosza podatku? Te 5 ha dorodnej łąki nie podnosi jego obowiązków wobec państwa, gdyż prawie użytkowanie to nie jest wykazane. Słowem ukryte łąki, przynoszące olbrzymie dochody — oto gdzie tkwi problem! Dość wspomnieć, że na samym tylko mleku wyciągali sepicy „biedniacy” 1000-2000 złotych miesięcznie! Gromada oczywiście wywróciła obowiązek wobec państwa na lewą stronę, ale dobra opinia jest tu tylko parawanem, za którym ukrywają się spekulacyjne interesy. Bo też handel sianem szedł tu na całego. I nie tylko sianem — podobnie koniami, bydłem, trzodą chlewną.

Nie tedy dziwnego, że chłopci trzymali się solidarnie, boczyli się na każdym przybyszu. Organizacja partyjna nie działała, koło samopomocowe dopomagało właściwie w organizowaniu zbytu na siano, ale co najważniejsze — wonne siano przesłoniło chłopom klasową problematykę ich własnej gromady. Po pewnym czasie ustaliliśmy bez trudu, że udział poszczególnych chłopów w zysku z kilkunastu łąk nie był równomierny. Tymotka, koniczyna, rajgras różnicowały klasowo wieś. Powstawały nowe chłopiekie fortuny. Tym więcej, że z trawą związała była hodowla „wspaniale” w Sepicach rozwinięta. Kto wziął więcej łąk, więcej sprzedawał koni i bydła. Ale wspólny interes, prowadzony resztą nielegalnie zamykał usta nawet tym, którzy w najmniejszym stopniu byli dopuszczeni do zysków.

Czynna świetlica, bujne życie kulturalne, dyskusja nad książkami, gazetami — to mogłoby zwrócić uwagę powiatowych czynników, albo doprowadziłoby do uświadomienia pokrzywdzonych przy eksploatacji łąk. Dlatego właśnie w bogatej wsi zastaliśmy ogromnie zacofanie kulturalne. Zamożność bowiem nie rozstrzyga w sposób prosty o stanie kulturalnym gromady. Bez odpowiedzi na pytanie, jaka to możliwość, w jaki sposób uzyskana, nie rozumiemy, czemu w świetlicy powybijane szczyby, a książki w bibliotece porastały pleśnią.

\*

A szkoła? Istniała przecież i przed naszym przyjściem. Nauczyciel uchodził w okolicy za radykal-

nego, gdyż występował przeciwko klerowi, ścisłej przeciwko nadmiernym opłatom za usługi kościelne. Istotnie np. podróz na tamten świat kosztuje w Sepicach szczególnie dużo. Książd — 200 zł, organista także 200 zł, grabarz jest o połowę tańszy. Nasz poprzednik był „radykałem” w taki sam sposób jak gromada produkująca. Uprawiał 25 ha ziemi. Stop, zagalopowałem się. Uprawiała mu woźna, płatna z pieniędzy państwowych. Ona to zgłanała w polu kark, doglądała pana nauczyciela krówek. On sam zaś trudnił się pracą pedagogiczną w chwilach wolnych od zajęć handlowych. W gruncie bowiem rzeczy zajmował się spekulacją na koniach, krowach, handlował także bryczkami, benzyną.



Z gromadą kontaktował się żywo sprasząc często co znamienitszych ze wsi „łakarzy” do siebie na czarną kawę i radio. Nie trudno się domyśleć, że mówię tu o „Głosie Ameryki”. Nie tedy dziwnego, że ten rodzaj kulturalnej rozrywki tak dalece zasmakował chłopom przedsioborcom, iż odnieśli się z mięciścia wrogo do naszych prób ożywienia świetlicy.

Odzieżdzyliśmy po nich trudną do prowadzenia młodzież i niedou-

czona. Dzieci z klasy IV nie opowiadały podstawowy i. wiadomości nawet z poprzedniej klasy.

— Czego was pan nauczyciel uczył?

— A pan, to nam kazal przepisywać z książek, a sam siedł do szopy i reperował w warsztacie bryczkę. A pani tak samo, że nie reperowała bryczki, ale robiła na drutach lub rozmawiała z krawcową.

W szkole żadnej dyscypliny. Dzieci przychodzili na lekcje nieregularnie oświadczając, że „tamten pan” nie wypytował się, dlaczego ktoś się spóźnia czy nie przychodzi.

Starsza młodzież przywiązywała kotom skrawki papieru do ogonów, strzelała do ptaków z proc, urządziła dzikie serenady pod oknami. Najstarsza zjawiała się od czasu do czasu na potańcówkach w świetlicy, gdzie wódka lała się strumieniami. Koto ZMP istniało jedynie na papierze.

\*

Przybyliśmy do Sepice latem 1952 roku. Zaszły od tego czasu być może niewielkie jeszcze i nie efektywne, lecz bardzo istotne zmiany na lepsze. Ich głównym współautorem nie jestem ja, lecz moja żona. Zbięrała dziewczęta szkolne wieczorami, czytała z nimi ciekawe książki, często humorystyczne, tak doszło do czytania „Zorane go ugoru”. Dzieci potem po domach opowiadały o chytrości Judaszki Golowlewa. Miało to w pierwszych dniach taki skutek, że frekwencja dziewcząt osiągnęła 100 procent. Chłopcy podjęli przez czołowych „przedsioborców” obrucali budynek szkolny kamieniami, wybijali szczyby. A jednak część z nich zapaliła się do naszych wieczornych rozmów. Niektórzy brali tegie lanie za późne powroty do domów. Znosili te szczyby ze strony rodziców z dużą godnością starając się nasładować bohatera Pawła Korczagina czy lotnika Meresiewa. W ciągu kilku miesięcy nie udało się nam wprawdzie zebrać chłopów na dyskusję o statucie spółdzielni produkcyjnej, ale młodzież potrafiła w wielu rodzajach wywołać silny ferment, rozbić pozorną jedność między poszczególnymi „łakarzami”.

Odświeżmy sprzeczności — takie

Stanisław Pazdan



JADWIGA DEPTA

## GLÓD KSIĄŻKI

JESTEM bibliotekarką gminną w Kuźni Raciborskiej i zarazem punktową w mojej rodzinnej wiosce, Turzu.

Kuźnia Raciborska jest osadą fabryczną, liczącą 3 000 osób; są tam fabryka obrabiarek, tartak itp., które zatrudniają i ludność pozamiejscową. Oprócz biblioteki gminnej jest jeszcze biblioteka fabryczna i szkoła. Biblioteka gminna ma obecnie 449 cz. iających, z tego 302 miejscowych, w tym 158 młodzieży. Wśród czytelników przeważają słusafze, tokarze, szlifierze, elektrotechnicy itp. M n i kilkudziesięciu przedowników pracy wśród czytających (i tu, korzystając ze sposobności, zwracam się z prośbą o przesłanie mi książek technicznych i mogących być pomocą w wyżej wymienionych zawodach). W grudniu było wypożyczeń 2582, w styczniu 2731. W przeczytanych książkach przeważa beletrystyka — 56 proc., marksizm — leninizm 33 proc., zaś reszta, to książki popularno-naukowe.

Księgozbiór liczy 2012 tomów. Dużą popularnością cieszą się dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej, Krasińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, ze współczesnych — Morcinia, Newerly'ego, Babajewskiego, Szolochowa, Seghers i Dreisera. Trzy najpopularniejsze książki to: „Gwiazdy patrzą na nas” Cronina, „Dittie” Nerz, „Saga rodu Forsytów” Galsworthy'ego. Broszury polityczne czyta przeważnie młodzież i członkowie partii. Moi czytelnicy dopominają się o więcej egzemplarzy „Pamiętnika z Celulozy”. Nie mamy „Pokolenia” Czeskiego. Poza tym proszą o wszystkie książki Seghers, Szolochowa, „Cichy Don”, „Droga przez mękę”, „Bruski”, ostatnie nowości jak np. „Wrzesień” itp. Ludność miejscowa dopytuje się o książki historyczne lub też nawet podręczniki historii polskiej, gdyż nie mamy poza sobą polskiej szkoły.

Przy bibliotece prowadzę zespół dobrego czytania z młodzieżą; przeobiono książki, broszury, „Dym” Konopnickiej, „Antek” Prusa, „Janek muzykant” Sienkiewicza, a obecnie „Szpak, ptak wiosenny” Mściłowskiego. Wielką bolączką mojej biblioteki jest nadal ten „pokój przechodni” — obiecano mi zresztą w GRN inny lokal, lecz trzeba go jeszcze odrestaurować. Gdy będę miała własny lokal, utworzę swoją bibliotekę dopiero rozkwitnie.

Punkt w Turzu mieści się w świetlicy gromadzkiej, ma 150 książek i 102 czytelników. Wioska liczy 1300 mieszkańców, przeważnie małorolni. W lutym br. powstał Komitet Założycielski Spółdzielni Produkcyjnej (taki komitet istnieje jeszcze w jednej gromadzie — Cichy Świcy). Chłopi wywiązali się ze swych obowiązków przedterminowo z nadwyżką. Tak samo jest ze splatą podatku gruntowego i kontraktacją roślin przemysłowych oraz trzody chlewnej na rok bieżący.

Wioska nasza była od dawna promieniującym środowiskiem polskości, za czasów niemieckich zwana „małą Warszawą”, dlatego też znajdują się polskie książki w prywatnych bibliotekach. Ludzie dokupują nowe książki u listonosza (w GS są tylko podręczniki szkolne) lub na kiermaszach. Lecz ciągle odczuwamy jeszcze brak, nawet glód książki. Tutaj czyta się dużo literatury rolniczej! Najpoczytniejszą książką jest „Pamiętnik Wacławski” Orzeszkowej, „Rodzina Lebedów” Gałaja i rolnicze, jak: „Chów świń”, „Walka z chwastami” itp. Ostatnio czytamy dużo książek i broszur o spółdzielczości. Młodzież zaś zaczytuje się w literaturze popularno - naukowej, np.: „Jak człowiek stał się obywatel”, „Wiek i pochodzenie ziemi” itp. Brak nam książek Sienkiewicza, Krasińskiego, Orzeszkowej, Morcinia, Newerly'ego, współczesnych książek autorów radzieckich, polskich i niemieckich.

Istnieją dwa zespoły dobrego czytania, łącznie z 23 osobami (przeważnie ponad 20 lat), w tym 13 kobiet. Zespoły przerobiły „Światła w Koordii”, „Dittie”, „Placówka”, „Ludzi z rzeki” i obecnie „Gorące dni”, następnie weźmiemy się za „Zorany ugor” i „Traktory zdobywają wiosnę”. Jeden zespół ćwiczy pod kierunkiem 20-letniej Katarzyny Piechul, drugi — prowadzą ja. Poza tym 36 osób bierze udział w III etapie dla czytelników bibliotek wiejskich. Potrzeba nam koniecznie dużo książek z beletrystyki, sztuk teatralnych, książek o sporcie oraz gier świetlicowych!

Jadwiga Depta,  
Turze, pow. Racibórz

# książka — w KIELECKIM — świetlica

CZESŁAW MICHNIAK

## DWA ZWYCIĘSTWA

Fak pierwszy. W kwietniu 1951 roku powstała spółdzielnia produkcyjna w Nizinach, niedużej wsi (110 numerów) — 9 km od Staszowa w powiecie buskim. RZS zresza 16 członków gospodarujących na 71 hektarach ziemi. Przewodniczącą nazywa się Stanisława Boronka. Dniówka obrachunkowa za ubiegły rok wyniosła 5 zł, 8 kg zboża, 23 dkg cukru, 2 kg siana, 2 kg ziem-



niaków itd. Podniosła się znacznie wydajność z hektara. 23 q pszenicy — to sukces niełatwy.

Fakt drugi. Przed niespełna dwoma miesiącami w Nizinach, w poradziwówskim budynku kuźni, ostemplowanym u świetlicy herbami księcia, otwarta została świetlica. Uroczystość poprzedziło zebranie sprawozdawcze członków spółdzielni.

Fakt trzeci. W kilka dni potem podpisał deklarację do spółdzielni 4-hektarowy Jan Uba.

Boronka udał się pewnego dnia do pobliskich Jarosławic „za rojkami”. Tam spotkał kierownika szkoły Praskę. Nauczyciel napomknął o świetlicy. Boronka przysłała myśl do głowy — dlaczego nie u nas, w Nizinach? Rozmowa z Praską przeciągnęła się do późnej nocy, pszczoły poszły w niepamięć. Przewodniczący wrócił do domu bez rojów, ale z konkretnym planem. Następnego dnia porozumiano się z województwem. Projektodawce przeniesiono do szkoły w Nizinach, postarano się o kredyt w wysokości 9 tysięcy złotych. Pieniądze wyasygnował SFOS.

We wsi zakotłowało się. Przyjaciele świetlicy synpeli robotocdniofkami — w darze dla spółdziel-

ni. Jednym z pierwszych był gospodarujący indywidualnie Wacław Janicki, który wybudował scenę. Pomagali zetempowcy, nauczyciel Prasek (powołano go na stanowisko kierownika świetlicy) i inni, nie mówiąc o spółdzielcach, którzy własnymi rękami przekształcili rudere w dom kultury.

Jan Uba kręcił głową mówiąc: — Patrzcie, patrzcie... W tym samym czasie jego córka Marysia, przewo-

stry licealistów ze Staszowa podążała ze szkoły do świetlicy tamci wyglądali spoza okiolków, przypatrując się pochodom wzrokiem, w którym można było wyczytać ciekawość. Ale na licze zawołania: „Chodźcie z nami” wzruszali ramionami. Dopiero potem, w czasie występów artystycznych niektórzy z nich stawali z tyłu, na dworze — świetlica była pełniafenka — przypielali twarze do szyb okiennych.

Coraz częściej chłopcy ze wsi zaglądają do białego domku na górze, a potem idą do obory spółdzielczej — wypytują... i dowiadują się od babci Wyrzykowskiej, że przy podziale otrzymała razem z mężem 31 metrów zboża. U Radziwiłła „zababiała” 25 groszy dziennie.

I oto do grupy spółdzielców przylączył się Uba. Któregoś ranka przyszedł do mieszkania Boronka: — Dajcie mi formularz — rzekł. Przewodniczący wcale się nie zdziwił, Marysia Uba gra w „Zwycięstwie” rolę sekretarza organizacji partyjnej.

Julka Satora przeistoczy się w sztuce Warmińskiego w zetempówkę Baśkę. Julka mieszka razem z matką Janiną Satorą, która ostatnio wypaliła kulakowi Majczakowi — sąsiaduje z nim przez ścianę — „jasne jak słońce, że podpiszę deklarację. Teraz jestem silniejsza, mam dwie córki — podopry, Julcie i Baśce”. Chodzą słuchy po wsi, że Majczak po tej rozmowie upił się z rozpaczy.

Trzy hektarowy Stanisław Ptak będzie Krawczykiem — „czarnym charakterem”. — Ale ciebie ubrali ci z kolchozu — słyszy szdydzące głosy za plecami. Ptak spluwa i odpowiada: — Przyjdźcie na przedstawienie, to zobaczycie siebie — jak w lustrze.

Wychowała ich sześciorka, jeden syn jest oficerem, drugi sekretarzem Komitetu Gminnego partii. Gdy w dniu otwarcia świetlicy gromada rozkrzyczanych, uradowanych ludzi przy dźwiękach orki-

ni. Jednym z pierwszych był gospodarujący indywidualnie Wacław Janicki, który wybudował scenę. Pomagali zetempowcy, nauczyciel Prasek (powołano go na stanowisko kierownika świetlicy) i inni, nie mówiąc o spółdzielcach, którzy własnymi rękami przekształcili rudere w dom kultury.

Jan Uba kręcił głową mówiąc: — Patrzcie, patrzcie... W tym samym czasie jego córka Marysia, przewo-

stry licealistów ze Staszowa podążała ze szkoły do świetlicy tamci wyglądali spoza okiolków, przypatrując się pochodom wzrokiem, w którym można było wyczytać ciekawość. Ale na licze zawołania: „Chodźcie z nami” wzruszali ramionami. Dopiero potem, w czasie występów artystycznych niektórzy z nich stawali z tyłu, na dworze — świetlica była pełniafenka — przypielali twarze do szyb okiennych.

Coraz częściej chłopcy ze wsi zaglądają do białego domku na górze, a potem idą do obory spółdzielczej — wypytują... i dowiadują się od babci Wyrzykowskiej, że przy podziale otrzymała razem z mężem 31 metrów zboża. U Radziwiłła „zababiała” 25 groszy dziennie.

I oto do grupy spółdzielców przylączył się Uba. Któregoś ranka przyszedł do mieszkania Boronka: — Dajcie mi formularz — rzekł. Przewodniczący wcale się nie zdziwił, Marysia Uba gra w „Zwycięstwie” rolę sekretarza organizacji partyjnej.

Julka Satora przeistoczy się w sztuce Warmińskiego w zetempówkę Baśkę. Julka mieszka razem z matką Janiną Satorą, która ostatnio wypaliła kulakowi Majczakowi — sąsiaduje z nim przez ścianę — „jasne jak słońce, że podpiszę deklarację. Teraz jestem silniejsza, mam dwie córki — podopry, Julcie i Baśce”. Chodzą słuchy po wsi, że Majczak po tej rozmowie upił się z rozpaczy.

Trzy hektarowy Stanisław Ptak będzie Krawczykiem — „czarnym charakterem”. — Ale ciebie ubrali ci z kolchozu — słyszy szdydzące głosy za plecami. Ptak spluwa i odpowiada: — Przyjdźcie na przedstawienie, to zobaczycie siebie — jak w lustrze.

Wychowała ich sześciorka, jeden syn jest oficerem, drugi sekretarzem Komitetu Gminnego partii. Gdy w dniu otwarcia świetlicy gromada rozkrzyczanych, uradowanych ludzi przy dźwiękach orki-

WACŁAW SYGULA

## W KOZIENICACH

P O obu stronach głównej ulicy w Kozienicach stoją parterowe domy — z rzadka „wystrzela” ku szarym, deszczowym chmurom jednopiętrowa kamieniczka.

Pytam wysoką kobietę w chustce o lokal Biblioteki Powiatowej — Kozienic nie znam — wzrusza ramionami. Nie tutejsza.

Chłopak w czapce uczniowskiej w ręku trzyma lyżwę (coż mu po niej, ulica płynnie woda, deszcz siece z ukosa) ofiaruje się na ochotnika.

— Ja pokażę... kilka kroków... — Tu była przedtem knajpa Młaska — mówi i oddala się w podskokach.

Lokal biblioteki składa się z czterech sal. W pierwszej — miejsce

lady i szafy do spirytualizmii zajęły półki. Książki stoją w szeregach równo, prosto, według wzrostu jak wojsko na defiladzie. Czysto, ład wzorowy W „gabiniecie”, w którym Młastek przyjmował tzw. „lepszych gości”, rozlokowało się biuro biblioteki.

Kierownik Sabatowski zasypuje mnie cyframi. Przed wojną w powiecie kozienickim istniała tylko jedna biblioteka, tzw. sejmikowa, licząca około 3 i pół tysiąca książek — rzecz godna uwagi, że w tym samym czasie na jednej tylko ulicy i przyległym placu znajdowało się pięć restauracji, „cichcem” prosperowało sześć spelunek, które prowadziły przedsiębiorcy „ciocie”.

Dziś mamy 21 miejskich i gminnych bibliotek — mówi Sabatowski — 228 stałych punktów bibliotecznych plus 11 specjalnych, zorganizowanych przy kołach organizacji społecznych i masowych. Razem 84 tysiące książek, czyli wzrost o około 2100 procent w porównaniu ze stanem przedwojennym. Liczba wypożyczających: w 1939 roku 400 osób, teraz — 16.205, czyli wzrost o około 4 tysiące procent. W roku bieżącym Biblioteka Powiatowa w Kozienicach zajęła I miejsce w skali wojewódzkiej.

Teraz druga sprawa. Kto czyta? Może najpierw kto czytał? Przed wojną struktura społeczna 9-tyślecznego miasteczka przedstawiała się następująco: rzemieślnicy, zwłaszcza szewczy-chalupnicy, kupcy i inteligencja małomiasteczkowa, ów przysłówowy „lekarz, aptekarz, sędzia i proboszcz”. Robotników było niewielu (browar, fabryczka kalafonii) trochę kolejarzy (linia Bąkowiec — Kozienice). Na przedmieściach mieszkali rolnicy — gospodarstwa kilkukhektarowe. Sabatowski zna stosunki przedwojenne — był wtedy nauczycielem. Czytała młodzież szkolna, inteligencja i rodziny kilku ko bogatszych chłopów z okolicznych wsi. W bibliotece przeważały książki spod znaku 3 M — Marczyński, May, Mniszkówna a teren był „zabity deskami”.

Dziś z jednej tylko biblioteki przy świetlicy w Janikowie korzysta 120 chłopów dorosłych i cała gromada młodzieży, a istnieją jeszcze dwa punkty biblioteczne. Dużą żywotność wykazuje amatorski zespół teatralny, który organizuje objazdy po powiecie — ostatnio wystawił w Rejonowym Domu Kultury w Czarnolesiu sztukę pt. „Sen bumelanta”. W roku ubiegłym powstała w Janikowie spółdzielnia produkcyjna.

Kierownik biblioteki gminnej w Brzeźnicy skarży się, że wypożyczający nie szanują książek. Często bowiem zwracane są z różnymi dopiskami, uwagami itp. Np. na pierwszej stronie „Cichego Donu” pod nazwiskiem autora (Szolochow) ktoś wykaligrafował kołową piórem; „Książka godna przeczytania”. W „Pamiętnie z Celulozy” drżąca ręka zakreśliła czerwonym ołówkiem piękne słowa Olejnicka: „Ale nienawidzę do wroga i miłość człowieka, gdy jest człowiekiem. To są, wiecie, dwa skrzydła i gdy oba są równie mocne, wtedy ma się wysoki, silny lot gdy jedno szwankuje, to się tylko podfruwają”. To znówu kilkadziesiąt stronie wstecz ktoś inny podkreślił paznokciem „Korbali” a z boku na marginesie dopisał „sukinsyn”. Fakty powyższe nie zostały już zacierpnięte z kroniki Milicji Obywatelskiej, tylko z praktyki bibliotecznej. Wniosek — ludzie czytając przeżywają, myślą, reagują bezpośrednio i szczerze.

Do biblioteki w Trzebieżynie zgłosił się pewnego dnia chłop ze słowami: — Pożyczęm od was przed miesiącem „Stara baśń”, ale dzieci mi ją okrutnie potargaly, wiecie, jak to dzieci, małe to i głupie — usprawiedliwiał się. — Zaprzęgiem więc do wozu i pojechałem do Kozienu do księgarni, ale tam powiedział, że nie ma Poprosilem więc jednego, który udawał się w delegację do Kielc, żeby mi kupił. Nie zapomniał i teraz odnoszę wam książkę. Obłożyłem ją nawet w papier. Dacie mi coś jeszcze? — Zaczęł szperać na półkach, sylabizować tytuły i nazwiska autorów w katalogu.

Albo Grudzień z Sieciechowa, który nauczył się czytać i pisać na kursach dla analfabetów. Recytuje ciele księgi z „Pana Tadeusza”. Książka zabłądziła pod strzechy? Nie. Po prostu pewnego dnia Grudzień kupił w Kozienicach zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza, na własność Z-plach pieniędzy, o trzymanymi w GS za sprzedanego, zakontraktowanego tucznika.

Albo 72-letnia Helena Polak spod Zwolenia, która od roku dopiero odróżnia A od Z, nie usnie bez książki w ręku Curiosum? Nie. Po prostu odrabia zaległości.

Dzwoni telefon. Sekretarz Prezydium PRN niecierpliwi się — zabranie Sabatowskiemu śpieszy się. Umawiamy się na wpół do pierwszej — po konferencji.

Sabatowski jednak nie przyszedł, nie mógł. Referował sprawę organizowania rad czytelnictwa i książ-



JAN BOLESŁAW OŻÓG

## ZAPUSZCZONE KUBY — MŁYNY

Byłem w Kubach - Młynach. Na tym odludziu pod Kielcami, oddalonym od gminy Morawicy o 9 km, żyje na 175 ha ziemi 185 ludzi. Nedza tu i bieda. Teren górzysty, gleba klasy V i VI. Co się udać? Liche żytko, ziemniaki i łubin. Nie znają tu oni pszenicy ani jęczmienia, ani lnu. Kultura rolna w zupełnym zacołaniu.

— A czy istnieją jakieś instytucje społeczne?

— Nie, nic nie ma. Szkoły brak. Dzieci dochodzą na naukę — mówi sołtys Malicki — zimą przez las i po zaspach śnieżnych 5 km. do Bileczy pieszko.

— Nie ma absolutnie nic? Ani świetlicy, ani sklepu?

— Gromada Kuba-Młyny starała się o świetlicę i o filię GS, ale GRN w Morawicy nie interesuje się wcale potrzebami wsi. Na nic starania i prośby. Gdy kto chce coś kupić, musi iść 6 km. do GS w Bileczy. Ale zwykłe wraca się stamtąd z niczym, bo w zarządzie GS siedzą sami „krewniacy” czy „kumotrowie” i ci dzielą towar między siebie. Ponieważ na rower nie stać biednego — tłumaczy znowu Malicki — po igrze, nici i pastę trzeba piechotą ciężką drogą iść, do samych dalekich Kielc.

Pytałem, czy nie próbował kto przepędzić „kumotrow” z GS. Nie, nikt Nikt nie potrafi!

A GS przydałaby się ogromnie. Zdarzało się dawniej, że zaglądnał tu lelnik, bo to i powietrze czysciutkie i spokój, i okolice prześliczne, ale co prędzej uciekał, gdy mu przyszło do sklepu po mydło iść 6 km.

Wydawaloby się, że lepiej ma się nieco sprawą z organizacjami, istnieją bowiem we wsi PZPR z 7 członkami i ZMP. W rzeczy samej i tu ręce opadają.

Wiezorek, przewodniczący ZMP, nakreślił historię Koła. Na terenie wsi organizacja młodzieżowa jest najstarszą organizacją polityczną. Po wyzwoleniu powstało tu Koło „Wici”, a następnie po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych ugruntowało się koło gromadzkie ZMP. Liczyło ono z początku 27

członków, z czasem wielu poodpadało. Przyczyn? Nie było lokalu na spotkania. Zebrania odbywały się w domu prywatnym u sołtysa.

— A czy teraz jest pomieszczenie dla ZMP?

Nie ma i teraz! Koło od r. 1949 czyniło starania w GRN, w PRN, w zarządzie powiatowym ZMP o świetlicę. Były baraki w Bileczy. Zetempowcy nie otrzymali tych baraków: Zarząd GRN mate-

— A czy istnieją jakieś instytucje społeczne?

— Nie, nic nie ma. Szkoły brak. Dzieci dochodzą na naukę — mówi sołtys Malicki — zimą przez las i po zaspach śnieżnych 5 km. do Bileczy pieszko.

— Nie ma absolutnie nic? Ani świetlicy, ani sklepu?

— Gromada Kuba-Młyny starała się o świetlicę i o filię GS, ale GRN w Morawicy nie interesuje się wcale potrzebami wsi. Na nic starania i prośby. Gdy kto chce coś kupić, musi iść 6 km. do GS w Bileczy. Ale zwykłe wraca się stamtąd z niczym, bo w zarządzie GS siedzą sami „krewniacy” czy „kumotrowie” i ci dzielą towar między siebie. Ponieważ na rower nie stać biednego — tłumaczy znowu Malicki — po igrze, nici i pastę trzeba piechotą ciężką drogą iść, do samych dalekich Kielc.

Pytałem, czy nie próbował kto przepędzić „kumotrow” z GS. Nie, nikt Nikt nie potrafi!

A GS przydałaby się ogromnie. Zdarzało się dawniej, że zaglądnał tu lelnik, bo to i powietrze czysciutkie i spokój, i okolice prześliczne, ale co prędzej uciekał, gdy mu przyszło do sklepu po mydło iść 6 km.

Wydawaloby się, że lepiej ma się nieco sprawą z organizacjami, istnieją bowiem we wsi PZPR z 7 członkami i ZMP. W rzeczy samej i tu ręce opadają.

Wiezorek, przewodniczący ZMP, nakreślił historię Koła. Na terenie wsi organizacja młodzieżowa jest najstarszą organizacją polityczną. Po wyzwoleniu powstało tu Koło „Wici”, a następnie po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych ugruntowało się koło gromadzkie ZMP. Liczyło ono z początku 27

i drugi otwierali zdumione oczy. Z trudem dowiedziałem się w końcu, że istnieje na terenie wsi biblioteczka, z niej jednak nikt prawie nie korzysta. Może tylko pożyczyci ktoś coś do czytania zimą, bo „wtedy jest więcej czasu”.

Bibliotekę prowadzi Józefa Malicka, zapobiegliwa gospodyni. Zastąpiła ją przy warsztacie tkackim. Wykonywała właśnie barwny samodziślowy pasiak, z którego be-

— A czy istnieją jakieś instytucje społeczne?

— Nie, nic nie ma. Szkoły brak. Dzieci dochodzą na naukę — mówi sołtys Malicki — zimą przez las i po zaspach śnieżnych 5 km. do Bileczy pieszko.

— Nie ma absolutnie nic? Ani świetlicy, ani sklepu?

— Gromada Kuba-Młyny starała się o świetlicę i o filię GS, ale GRN w Morawicy nie interesuje się wcale potrzebami wsi. Na nic starania i prośby. Gdy kto chce coś kupić, musi iść 6 km. do GS w Bileczy. Ale zwykłe wraca się stamtąd z niczym, bo w zarządzie GS siedzą sami „krewniacy” czy „kumotrowie” i ci dzielą towar między siebie. Ponieważ na rower nie stać biednego — tłumaczy znowu Malicki — po igrze, nici i pastę trzeba piechotą ciężką drogą iść, do samych dalekich Kielc.

Pytałem, czy nie próbował kto przepędzić „kumotrow” z GS. Nie, nikt Nikt nie potrafi!

A GS przydałaby się ogromnie. Zdarzało się dawniej, że zaglądnał tu lelnik, bo to i powietrze czysciutkie i spokój, i okolice prześliczne, ale co prędzej uciekał, gdy mu przyszło do sklepu po mydło iść 6 km.

Wydawaloby się, że lepiej ma się nieco sprawą z organizacjami, istnieją bowiem we wsi PZPR z 7 członkami i ZMP. W rzeczy samej i tu ręce opadają.

Wiezorek, przewodniczący ZMP, nakreślił historię Koła. Na terenie wsi organizacja młodzieżowa jest najstarszą organizacją polityczną. Po wyzwoleniu powstało tu Koło „Wici”, a następnie po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych ugruntowało się koło gromadzkie ZMP. Liczyło ono z początku 27

większą poczytnością cieszą się książki dla dzieci, np. „Lokomotywa” Tuwima. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Bo przecież czytają starzy, nie dzieci. Malicka wytłumaczyła mi. Ołbrzymi procent chłopców nie umiał do niedawna czytać ani pisać. W ciągu miesięcy zimowych ostatnich trzech lat odbywało się we wsi kształcenie analfabetów po domach i właśnie Malicka prowadziła to z braku kwalifikowanej siły nauczycielskiej. I dlatego ci, którzy posiadli sztukę czytania, doskonałą się w niej przy lekturze książek Tuwima i Porazińskiej.

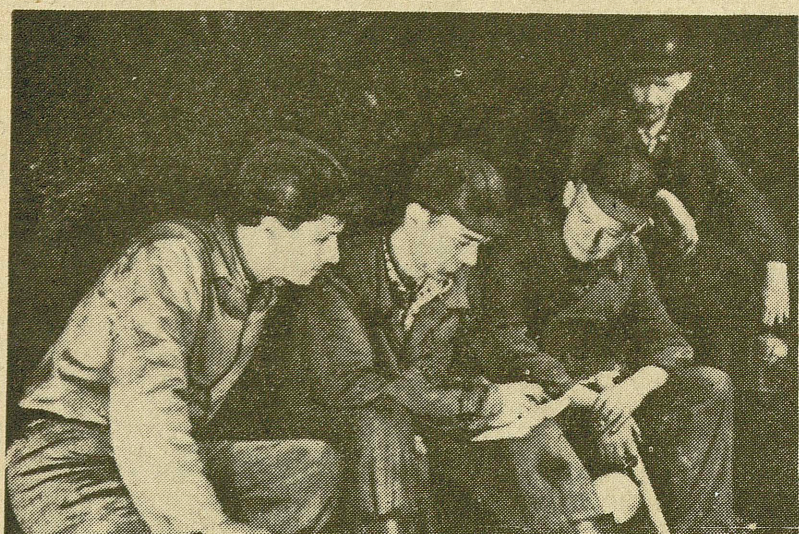
Sądziłem, że tych, którzy ćwiczą się na „Lokomotywie” Tuwima, jest niewielu i to wśród starszych i spytałem, co czyta młodzież z ZMP. Ze grozą usłyszałem, że prawie wszyscy zetempowcy to absolwenci kursu dla analfabetów! Teraz jednak wzięli się trochę do czytania, sięgając jednak tylko po gazety. ZMP-owcy podjęli zobowiązanie rozszerzenia czytelnictwa prasy i zobowiązanie to wykonali. Nie jest więc tak najgorzej, trzeba ich trochę rozruszać. Dziś każdy członek prenumeruje dwa czasopisma, albo „Nową Wies” i „Chłopską drogę”, albo „Gromadę” i „Słowo ludu”. Dzięki tej agtacji, we wsi jest 32 prenumeratorów!

Odjeżdżałem stamtąd jednak przynębiony. Kto jest winien takiemu stanowi rzeczy? Przecież w sąsiednich wsiach, Morawicy i Bileczy, powstały już spółdzielnie produkcyjne, a tu — jak powiedział mi Wiezorek — „młodzi są jeszcze w zależności od starszych, od rodziców, po nich przecież mają d z i e d z i c z y ć grunta! Nowe, to nie tylko postępowo gospodarzyć, ale i kulturalny, jedno ciągnie za sobą drugie. Wnioski, jakie mógłbym wyciągnąć z pobytu w Kubach - Młynach, brzmią: Więcej opieki ze strony organizacji politycznych i władz powiatowych, więcej pracy nad wsią, a i Kuby-Młyny zmienia się. Pomocze w tym młodym książka jak i świetlica, pomoże w tym agitacja za spółdzielczością produkcyjną.

Jan Bolesław Ożóg

Wacław Sygula





GUSTAW MORCINEK

## ZAMORUSANA KSIĄŻKA

**N**IE zapomnę nigdy tej o-  
sobliwej chwili, gdy zna-  
lazłem się po raz pierw-  
szy w kopalni na dole.  
Szygar pod szybem wziął  
mnie w objęcia, naopowia-  
dał tyle przeróżnych przykazań,  
które jako górnik muszę przestrze-  
gać, że kiedy w końcu przyszedł  
po mnie Opiot, wydawało mi się,  
że ze mnie stary wyga górniczy.  
A liczyłem sobie wtedy niespełna  
15 lat życia.

Za książkami już wtedy przepa-  
dałem. I jakie było moje zdumie-  
nie, gdy po skończonej szczytce  
wszyscy górnicy z mojego przodka  
usiedli na „blotniach”, czyli na roz-  
jazdowych płytach pod pochylnią,  
a stary Opiot nalał z namaszcze-  
niem na nos podrutowane okulary,  
wydobył z kieszeni marynarki mo-  
cno zamorusaną książkę w czerw-  
onych, sztywnych okładkach i gdy  
nastąpiła cisza, zaczął czytać rów-  
nym, monotonnym głosem:  
Nieznaczenie z wilgotnego wykradał się  
mroku

Swit bez rumienia wiodąc dzień bez  
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie  
jest widoczny...

Wszyscy słuchali. Co starsi tylko  
zuli tytoń i spluwali głośno, inni  
oparli się o stemple, ja otworzy-  
łem szeroko oczy ze zdumienia, stary  
Opiot zaś czytał równym, odmie-  
rzonym głosem akcentując rytm  
wiersza. Nie wiedziałem wtedy, że  
to jest początek księgi szóstej „Pa-  
na Tadeusza”, bo w ogóle o „Pana  
Tadeusza” nigdy nie słyszałem, a o  
Mickiewiczu dowiedziałem się w  
austriackiej szkole, że to był taki  
jeden „ein polnischer Dichter”,  
który chciał pisać tak pięknie jak  
Schiller, ale mu się nie udało.

Opiot skończył na tym, jak Woź-  
nemu wydaje się, że jest podobny  
do żołnierza, który słysząc trąbkę,  
na drzewianym nodze skacze tak  
prędko, że go ledwie może złowić  
młodziec. Zamknął książkę, włożył  
do kieszeni, usunął okulary do o-  
skubanego futerału tekturowego i  
dał znak do pochodu pod szyb.

— Opiot, co to czytaliście? — za-  
pytałem po drodze.  
— Słyszeliście, ślimoku, że „Pana  
Tadeusza”!

— A kto go napisał?  
— O jej, z ciebie jest mamlas!  
To nie wiesz?  
— Nie wiem!  
— No, Mickiewicz. Adam Mi-  
kiewicz!  
— Aha!

I odtąd już wiedziałem, że auto-  
rem tej prześlicznej, a mocno za-  
morusanej książki, napisanej wiers-  
zami, jest ów „polnischer Dichter”,  
który chciał pisać tak pięknie  
jak sam Schiller, ale mu się nie u-  
dało, według orzeczenia pana na-  
uczyciela Schliwki. Pan Schliwka  
był zwykłą Śliwką, tylko ziemczona-  
ną i stąd ta jego ap- strofa pod a-  
dresem Schillera.

To było moje pierwsze zetknięcie  
się z książką wśród górników.

Spotykałem się z nią i na dole w  
kopalni, i na powierzchni, podczas  
odpoczynku po pracy, gdyśmy wraca-  
li pod szyb, lub czytając w nie-  
dziele w „sogrodce” lub w altance,  
lub też zgola na miedzy. Spotyka-  
łem się z nią przede wszystkim w  
czytelni Towarzystwa Szkoły Lu-  
dowej w Karwinie. Potem stałem  
się bibliotekarzem — uciąć jako  
górnika — w bibliotekach Kół Ma-  
cierzy Szkolnej Księstwa Cieszyń-  
skiego. Spotykałem ją podczas ple-  
bisytu na Górnym Śląsku w oca-  
lonych bibliotekach Towarzystwa  
Czytelni Ludowych, szafarzyłem  
nią hojnie, rozdawałem górnikom,  
przekonywałem, namawiałem, cho-  
ciaż nie musiałem ich przekonywać  
i namawiać, i zacierałem dłonie z  
zadowolenia, gdy na Walnym Ze-  
braniu Macierzy Szkolnej w Cie-  
szynie dowiadywałem się ze spr-  
awozdania bibliotekarza, że najwięk-  
szy procent przeczytanych książek  
osiągnęły biblioteki w zagłębiu gór-  
niczym.

W mojej powieści pt. „Ondra-  
szek” niektórzy czytelnicy maszy-  
nopisu zakwestionowali dwa szcze-  
góły. Uważali to już za wytwór mo-  
jej pisarskiej fantazji, gdy opisuję  
odpust kościelny w roku 1697 na  
Śląsku, a na tym odpuscie krama-  
rza z książkami, których tytuły  
przyciącały w oryginalnym brzmie-  
niu. Następnie, że Barbara, przyjaci-  
ółka młodego zbrojnika, beskidz-  
kiego, Ondraszka, pisze do niego  
miłosny list wierszowany.

— A przecież w tym wieku  
chłopi nie umieli pisać i czytać! —  
probowano mi klarować i udowod-  
nić, że „licentia poetica” w mej po-  
wieści za daleko sięga.

Wówczas ja musiałem klarować

tamtym sceptykom, że właśnie  
chłop śląski w tym wieku, ba!  
wcześniej, umiał czytać i pisać,  
gdyż przyczyniły się do tego walki  
religijne podczas Reformacji i  
kontrreformacji na Śląsku. Nie-  
mieccy panowie na Śląsku byli nie-  
liczni, za to liczni byli chłopci, dla  
których księża katolicyści i pastoro-  
wie protestanccy wydawali książki  
o charakterze polemicznym i każ-  
dy z wiernych, dla skuteczniejsze-  
go zwalczania przeciwnika, siłą  
rzeczy musiał się nauczyć czytać.  
Wszak w znanego chłopskiego bi-  
bliofila Jana Wantuły w Ustroniu  
na Śląsku można oglądać wspina-  
jąc się na przegródki przeróżnych  
dewocyjnych polskich, wydawa-  
nych w Brzegu, we Wrocławiu,  
Gdańsku, Krakowie i Wilnie, prze-  
różne biblie i postylle, a niejednę  
z tych szacownych foliów opar-  
zoną jest podpisami kolejnych  
właścicieli — chłopów. I kolejność  
ta ciągnie się od początku XVI stu-  
lecia po ostatnie czasy!

Czytelnictwo na Śląsku było zja-  
wiskiem tak powszechnym, że nikt  
by tutaj nie uświadczył ani jednego  
analfabety poza nielicznymi ma-  
tulkami i „pomyłonymi na rozu-  
mie”. Jeżeli znaleźli się jacyś anal-  
fabeci jeszcze niedawno temu, był  
to element napływowy, a nie tu-  
bylicy.

Nic dziwnego też, że książka  
wśród górników nie jest marcy-  
panem, czy bułką z masłem, lecz co-  
dziennym chlebem razowym.

Górnika, jako człowieka uczynli-  
wego, jest wymyślny i lubi w książkach  
przebierać. Nie zadowala się ksią-  
żką podawaną mu przez biblioteka-  
rza. On musi ją najpierw obejrzeć,  
zaglądnąć do niej to tu, to tam, za-  
stanowić się, bo jak powiada, szko-  
da czasu na byle „pleciugę”. Naj-  
częściej jednak taki czytelnik ma  
swoich ulubionych pisarzy, których  
domaga się uprzejmie i za który-  
mi przepada.

Często się zdarza, że młody gór-  
nik przychodzi po raz pierwszy do  
biblioteki i prosi o „jakąś ładną  
książkę”. Bibliotekarz posuwa mu  
wtedy książkę upatrzonego autora.

— A o czym jest ta książka? —  
pyta młody górnik.

— O górnikach i o kopalni!  
— Dziękuję! Nie chcę! Jo mów  
dość tej kopalni na codzień, a nie  
zbych jeszcze miot o niej czytać.  
Dejcie mi taką, w której się miłu-  
ję!

Bibliotekarz przypuszcza, że mło-  
demu czytelnikowi chodzi o książ-  
kę coś w rodzaju oślawionej „Tre-  
dowatej”. Pragnie jednak przeko-  
nać swego zadzierzwytego i trochę  
kudłatego „klienta”, że tamta ksią-  
żka, w której autor pisze o górn-  
kach i o kopalni, jest również in-  
teresująca. I że w niej jest rów-  
nież „miłowanie”.

— A, to dejcie! — zgadza się czy-  
telnik. — Uwidzimy!... — zabiera  
ją i wychodzi, lecz z lekką niewia-  
rą. I stale się zdarza, że gdy po ty-  
godniu, po dwóch przynosi ją prze-  
czytaną do biblioteki, domaga się  
podobnej, bo „to wszystko, co w  
niej napisane, to jest rychtłyk pro-  
wa”. O niektórych autorach, pi-  
szących o górnikach, twierdzi, że  
„fanzola”, że piszą, a nie rozumieją  
się na jachu górniczym.

Górnicy chętnie spotykają się ze  
„swoim autorem” i chętnie prowa-  
dzą z nim dyskusję na temat jego  
książki. Zwłaszcza gdy to książka,  
której tematem jest kopalnia i gór-  
nictwo. Ich sąd jest wtedy trafny  
i rzeczowy.

Umieją ocenić wysiłek pisarza  
dobrej książki i chcą mu sprawić  
radość czytając ją cytować jej  
treść z własnymi uzupełnieniami i  
dodatkami. Potem przepijają z nim  
pobratymstwo, zapraszają w kurny,  
za starostę weselnego, goszczą  
„krupniokami” i plikiem z powi-  
dłami, przyrzekają mu przestać fu-  
rę węgla, życzą mu sto lat życia i  
jeszcze więcej takich książek, ja-  
kie dotychczas napisał.

Książki te zaś wędrują po całej  
kopalni, z rąk do rąk, czasem owi-  
jane w papier, by się nie pobrudzi-  
ły, czasem mocno zamorusane i  
sfatygowane.

Pisarzowi zaś największe zado-  
woleństwo sprawia przypadkowe spo-  
tykanie się z taką zamorusaną swoją  
książką. Znak to nieomyślny, że  
przewędrowała w krótkim czasie  
sporo świata górniczego, że była  
pilnie czytana, że komuś coś dała  
i że może była dobrą, chociaż za-  
morusaną książką, która — jak to  
określił Paweł Hulka — Laszkowski  
— wtedy jest dobrą, gdy człowiek  
przy jej czytaniu prostuje się, pod-  
nosi głowę.

Gustaw Morcinek

JÓZEF POGAN

## KTO PRZODUJE? — MŁODZIEŻ!

**Z**APYTAJMY się Piotra  
Marciniaka, byłego prze-  
wodniczącego, a obecnego  
księgowego spółdzielni  
produkcyjnej w Gwoździa-  
nach, pow. Lublinieć o  
jej początkowe prace, a zaraz za-  
ciśnię wargi, po czym zaklinie:

— To nie była praca, to był ba-  
łagan. Było to wiosną 1950 roku.  
Nasza spółdzielnia liczyła wtedy 27  
członków i przeszło 200 ha ziemi.  
Robota nie szła, bo wkraśli się do  
nas jakiś diabeł i psuł gdzie mógł.  
Płatał figle w stajni, w Ośrodku  
Maszynowym, w polu i wszędzie.  
Nasi ludzie gryzli się z sobą, nie  
dbali o robotę i o nic. Na szczęście  
była większość takich, co sprawę  
spółdzielni wzięli głęboko do se-  
rca. Chodziło nam nie ino o straty,  
ale i o wstyd, na jaki się naraża-  
liśmy. W całej wsi były z nas drwi-  
ny, to nawet przychylnych do nas  
ludzi odpychało.

— Wysiew nawozów naprowadził  
nas na ślad wicherzycieli — do-  
powiada wesoło obecny przewodniczą-  
cy, Piotr Zajac, Ślązak. — Szuka-  
liśmy tego diabła i ni jak nie mogli-  
śmy się go doszukać. Dopiero jed-  
nego razu ujrzałem, że na polu, któ-  
re wprawie należało do Jana Czapli,  
aż się czerni od wysianego nawozu,  
a obok za dawną miedzą prawie że  
nie posiano. Powiedziałem o tym  
Marciniakowi, Kantołowowi, Mazu-  
rowi i zaczęliśmy obserwować Cza-  
plę. I wnet wyłazło sztydo z wor-  
ka: dowiedzieliśmy się, że Czapla z  
Antonim Barańskim przygotowy-  
wali się do rozsadzenia spółdzielni.  
Tak po nitce do kłębaka wykryli się  
jeszcze inne ich zle sprawy w  
Gminnej Spółdzielni Spożywców,  
gdzie Czapla przesował, i w O-  
środku Maszynowym, którego kiero-  
wnikiem był Barański. Ale żeśmy  
nie byli tacy ślabi, to uchwyciliśmy  
my diabła za rogi. Zwolaliśmy o-  
gólnie zebranie członków, wyrabiali  
całą prawdę i wyrzucili szkodni-  
ków. Ho, ho, ci co sumiennie chcieli  
pracać i żyć w spółdzielni, aż  
zdebieli, gdy usłyszeli o tej wrogiej  
robotce. Tak nas wysiew nawozów  
naprowadził na ślady wroga. Do-  
wiedzieliśmy się później, że Czapla  
powiedział do swojego kumotra:  
„siejcie dużo na moje i swoje pole,  
to dobrze na tym zyskamy, bo jesz-  
cze przed żniwami spółdzielnia się  
rozleci”.

— A tymczasem on wyleciał ra-  
zem z Barańskim i dziewięcioma in-  
nymi — dopowiada znowu Marci-  
niak.

Ów fakt wiele wpłynął na poz-  
stałych członków spółdzielni.  
Zwłaszcza na tych, co wprawie ochot-  
niczo wstąpili, a później bałamu-  
ceni przez wicherzycieli poczęli za-  
łować swego postępuku. Zrabali się w  
„kupe” i przyłożyli ręk do pracy.  
Odciażyło to Marciniaka i Zajacę.  
Teraz mogli się już oderwać od  
drobniejszych spraw i pomyśleć o  
szerszym. Chodziło o zaprowadze-  
nie hodowli, nie mieli bowiem ani  
jednej krowy i świni. Postarali się  
o kredyty i ruszyli za kupnem.

— Chcieliśmy kupić najtaniej i  
nabyć dobrą rasę, a to nie taka la-  
twa sprawa — wspomina Zajac. —  
Dość mi się nałaziło po okolicy, a  
za świniemi to mi jeździł aż do Wie-  
lunia. Krów kupiliśmy przeszło  
dwadzieścia sztuk, świni siedem-  
dziesiąt. Lecz znowu nowy kłopot,  
bo ciasno było w starej, walającej się  
oborze. Trza było na gwałt myśleć

PIOTR GUZY

**S**iedziałem w jednym z pierw-  
szych rzędów, gdy wtem ktoś  
szturchnął mnie w ramię.

— Panie, czy ja pana nie  
znam? — Obróciłem głowę i zoba-  
czyłem przed sobą niskiego czło-  
wieka o dużej okrągłej głowie o-  
żywionej piwnymi oczami.

— Mnie? — zdziwiłem się.

— Może pan zna, może nie. — Coś  
jednak zaczęło mi świtać w głowie.  
— Mężczyzna ściągnął brwi, uśmiech-  
nął się i przypatrywał mi się dłu-  
szą chwilę.

— Był pan kiedy w Sadach? —  
zapytał.

— Sady, Sady... w powiecie poz-  
nańskim?

— Tak.

— A byłem, tak, tak, byłem tam  
jakieś dwa lata temu.

— Już mam! — okręgała twarz roz-  
promieniła odkrywczym uśmie-  
chem. — Z odczytem pan był, coś  
o spółdzielczości.

— Rzeczywiście! Że też pan pa-  
miega! — Teraz i ja sobie przypom-  
niałem mroźny zimowy wieczór, du-  
żą drewnianą salę w samym śro-  
dku wsi, długie ławki z siedzącymi  
podchodzące prawie do stołu, na  
którym leżały moje notatki do od-  
czytu.

— E... — powiedziałem — już  
sobie pana przypominam. Siedział  
pan z tyłu i jako jeden z pierw-  
szych zabrał głos w dyskusji. Twier-  
dził pan, że spółdzielnia w waszej  
gromadzie upadnie, bo same biedaki  
do niej wstąpiły. Nie dali sobie  
rady na indywidualnym, to próbują  
szczęścia w spółdzielni. No, jakże,  
pamiętam, pamiętam.

— Teraz pracuję w oborze... w  
naszej spółdzielni.

— W spółdzielni? Jak to, przy-  
stąpił pan do spółdzielni? — Nie  
chciało mi się wierzyć.

— A no, tak.

— Kiedy pan wstąpił?



o budowaniu nowej. Otrzymałymi  
kredyty i znowu staramy się o spro-  
wadzenie materiału. Poszło nam to  
dość sprawnie, tak samo jak żniwa,  
siewy jesienne i wykopki, bo nasi  
ludzie już rzetelnie pracowali. To  
zachęcało do spółdzielni — ten i ów  
kreślił głową, zastanawiał się co  
począć. A choćby ona — wskazuje  
na około 40-letnią wdowę, Gaś Kla-  
rę. — Też tutaj, Ślązaczka. Mia-  
ła 9 ha ziemi, konia, krowy, i  
wszystko co trza do gospodarki.  
Dostała to w posagu od rodziców  
jeszcze przed wojną. Nie było jej  
złe, bo dzieci już dorosłe, to miał  
kto robić. I ona też jeszcze krzep-  
ka. Na razie to se ani wspomnieć  
nie dała o wstąpieniu do spółdziel-  
ni i gderała, że nie pracujemy jak  
trza. A potem jak my chwycili dia-  
bla za rogi i wyciepli, jak my się  
wzięli do roboty, ho, ho — baba się  
odmienia, a że jucha ruchliwa i  
wścibska, więc wszystko ją obcho-  
dziło. Zachodziła do nas w pole,  
czy na podwórzu, zaglądała do  
krów, do świni, wszędy i cięgiem  
zagadywała: — „Jak to robicie? be-  
dzie z tego korzyść? lepsze życie?”  
i różnie. Tak bez mała rok. Naresz-  
cie przyszła do nas ze wszystkim:  
z tymi 9-cio hektarami, z koni-  
em i dwiema jałowkami, dwoma  
wozami i plugami, z siewnikiem,  
kultywATOREM i innymi drobniej-  
szymi narzędziami. Troje ludzi  
nie stało pracując a dwoje doryw-  
czo. W weszłym roku wyrobili 1028  
dniówek. Wszyscy nasi członkowie  
tak pracują. I wszyscy z tych, co  
później wstąpili, wprawie nas osza-  
łowali ze wszystkich stron i zwążyli  
na gramy i miligramy.

— Chcę wyjaśnić, dlaczego ma-  
my z całych serc przyjąć te zobo-  
wiązania. Jako sołtys znam dobrze  
gospodarcze sprawy gromady i dla  
przykładu podam parę ogólnych  
faktów, mówiących o różnicy ze-  
społowej, a indywidualnej gospo-  
darki.

Wydobył z kieszeni kartę zapisa-  
nego papieru, nałożył na oczy oku-  
lary i czytał:

— Nasza wieś mierzy 982 ha zie-  
mi. Przed „łożeniem spółdzielni  
było 98 gospodarzy. W spółdzielni  
jest 43 gospodarstw o łącznym ob-  
szarze 456 hektarów, a członków 53.  
Chodzi nie ino o to, że osiągnęliśmy  
o dwa kwintale większe zbiory z  
hektara od indywidualnych gospodar-  
ców, ale i o to, że ich na każdym  
kroku prześcigamy. Za te parę lat  
naszej wspólnej gospodarki wybu-  
dowaliśmy chlewnię, oborę i staj-  
nię. Założyliśmy dwa hektary sa-  
du owocowego, wyremontowaliśmy  
budynek na uruchomienie kina i in-  
ne cele społeczne oraz założyliśmy  
światlice. A co gromada zrobiła za  
ten czas? Prawie nic. Prawdą, że  
mają więcej od nas krów (bo je już  
wprawie mieli), ale mleka o wiele  
mniej. W ubiegłym roku spółdziel-  
nia odstawiła do mleczarni 52.305  
litrów, gromada z trudem dosięgła  
na 48.000. Tak samo prześcigamy  
gromadę w dostawie zboża i mięsa.  
I tak na każdym kroku. Dochody  
spółdzielni, dotychczasowy rozwój  
i coraz to lepsze życie jej członków  
mocno wbijają się w głowy indy-  
widualnym gospodarzom. Więc stara-  
ją się coraz to lepiej pracować, by  
tym jak najprędzej przekonać i  
przyciągnąć do siebie stojącą na u-  
bożu połowę wsi.

— Tak jest. — Dobrze gada —  
przypatkiwali zebrani. — Ino, że i  
bez tego gadania też byśmy podjęli  
zobowiązania.

— Podejmiemy i przed terminem  
wykonamy — odezwiała się prze-  
wodnicząca Koła ZMP, Stanisława Fi-  
siór. — My zetempowcy sami o-  
wykonamy.

— Wierzymy, że zrobicie — przy-  
chwilił Marciniak. — W dotych-  
czasowych osiągnięciach spółdzielni

społowej, a indywidualnej gospo-  
darki.

Wydobył z kieszeni kartę zapisa-  
nego papieru, nałożył na oczy oku-  
lary i czytał:

— Nasza wieś mierzy 982 ha zie-  
mi. Przed „łożeniem spółdzielni  
było 98 gospodarzy. W spółdzielni  
jest 43 gospodarstw o łącznym ob-  
szarze 456 hektarów, a członków 53.  
Chodzi nie ino o to, że osiągnęliśmy  
o dwa kwintale większe zbiory z  
hektara od indywidualnych gospodar-  
ców, ale i o to, że ich na każdym  
kroku prześcigamy. Za te parę lat  
naszej wspólnej gospodarki wybu-  
dowaliśmy chlewnię, oborę i staj-  
nię. Założyliśmy dwa hektary sa-  
du owocowego, wyremontowaliśmy  
budynek na uruchomienie kina i in-  
ne cele społeczne oraz założyliśmy  
światlice. A co gromada zrobiła za  
ten czas? Prawie nic. Prawdą, że  
mają więcej od nas krów (bo je już  
wprawie mieli), ale mleka o wiele  
mniej. W ubiegłym roku spółdziel-  
nia odstawiła do mleczarni 52.305  
litrów, gromada z trudem dosięgła  
na 48.000. Tak samo prześcigamy  
gromadę w dostawie zboża i mięsa.  
I tak na każdym kroku. Dochody  
spółdzielni, dotychczasowy rozwój  
i coraz to lepsze życie jej członków  
mocno wbijają się w głowy indy-  
widualnym gospodarzom. Więc stara-  
ją się coraz to lepiej pracować, by  
tym jak najprędzej przekonać i  
przyciągnąć do siebie stojącą na u-  
bożu połowę wsi.

— Tak jest. — Dobrze gada —  
przypatkiwali zebrani. — Ino, że i  
bez tego gadania też byśmy podjęli  
zobowiązania.

— Podejmiemy i przed terminem  
wykonamy — odezwiała się prze-  
wodnicząca Koła ZMP, Stanisława Fi-  
siór. — My zetempowcy sami o-  
wykonamy.

— Wierzymy, że zrobicie — przy-  
chwilił Marciniak. — W dotych-  
czasowych osiągnięciach spółdzielni

społowej, a indywidualnej gospo-  
darki.

Wydobył z kieszeni kartę zapisa-  
nego papieru, nałożył na oczy oku-  
lary i czytał:

— Nasza wieś mierzy 982 ha zie-  
mi. Przed „łożeniem spółdzielni  
było 98 gospodarzy. W spółdzielni  
jest 43 gospodarstw o łącznym ob-  
szarze 456 hektarów, a członków 53.  
Chodzi nie ino o to, że osiągnęliśmy  
o dwa kwintale większe zbiory z  
hektara od indywidualnych gospodar-  
ców, ale i o to, że ich na każdym  
kroku prześcigamy. Za te parę lat  
naszej wspólnej gospodarki wybu-  
dowaliśmy chlewnię, oborę i staj-  
nię. Założyliśmy dwa hektary sa-  
du owocowego, wyremontowaliśmy  
budynek na uruchomienie kina i in-  
ne cele społeczne oraz założyliśmy  
światlice. A co gromada zrobiła za  
ten czas? Prawie nic. Prawdą, że  
mają więcej od nas krów (bo je już  
wprawie mieli), ale mleka o wiele  
mniej. W ubiegłym roku spółdziel-  
nia odstawiła do mleczarni 52.305  
litrów, gromada z trudem dosięgła  
na 48.000. Tak samo prześcigamy  
gromadę w dostawie zboża i mięsa.  
I tak na każdym kroku. Dochody  
spółdzielni, dotychczasowy rozwój  
i coraz to lepsze życie jej członków  
mocno wbijają się w głowy indy-  
widualnym gospodarzom. Więc stara-  
ją się coraz to lepiej pracować, by  
tym jak najprędzej przekonać i  
przyciągnąć do siebie stojącą na u-  
bożu połowę wsi.

— Tak jest. — Dobrze gada —  
przypatkiwali zebrani. — Ino, że i  
bez tego gadania też byśmy podjęli  
zobowiązania.

— Podejmiemy i przed terminem  
wykonamy — odezwiała się prze-  
wodnicząca Koła ZMP, Stanisława Fi-  
siór. — My zetempowcy sami o-  
wykonamy.

— Wierzymy, że zrobicie — przy-  
chwilił Marciniak. — W dotych-  
czasowych osiągnięciach spółdzielni

społowej, a indywidualnej gospo-  
darki.

Wydobył z kieszeni kartę zapisa-  
nego papieru, nałożył na oczy oku-  
lary i czytał:

— Nasza wieś mierzy 982 ha zie-  
mi. Przed „łożeniem spółdzielni  
było 98 gospodarzy. W spółdzielni  
jest 43 gospodarstw o łącznym ob-  
szarze 456 hektarów, a członków 53.  
Chodzi nie ino o to, że osiągnęliśmy  
o dwa kwintale większe zbiory z  
hektara od indywidualnych gospodar-  
ców, ale i o to, że ich na każdym  
kroku prześcigamy. Za te parę lat  
naszej wspólnej gospodarki wybu-  
dowaliśmy chlewnię, oborę i staj-  
nię. Założyliśmy dwa hektary sa-  
du owocowego, wyremontowaliśmy  
budynek na uruchomienie kina i in-  
ne cele społeczne oraz założyliśmy  
światlice. A co gromada zrobiła za  
ten czas? Prawie nic. Prawdą, że  
mają więcej od nas krów (bo je już  
wprawie mieli), ale mleka o wiele  
mniej. W ubiegłym roku spółdziel-  
nia odstawiła do mleczarni 52.305  
litrów, gromada z trudem dosięgła  
na 48.000. Tak samo prześcigamy  
gromadę w dostawie zboża i mięsa.  
I tak na każdym kroku. Dochody  
spółdzielni, dotychczasowy rozwój  
i coraz to lepsze życie jej członków  
mocno wbijają się w głowy indy-  
widualnym gospodarzom. Więc stara-  
ją się coraz to lepiej pracować, by  
tym jak najprędzej przekonać i  
przyciągnąć do siebie stojącą na u-  
bożu połowę wsi.

— Tak jest. — Dobrze gada —  
przypatkiwali zebrani. — Ino, że i  
bez tego gadania też byśmy podjęli  
zobowiązania.

— Podejmiemy i przed terminem  
wykonamy — odezwiała się prze-  
wodnicząca Koła ZMP, Stanisława Fi-  
siór. — My zetempowcy sami o-  
wykonamy.

— Wierzymy, że zrobicie — przy-  
chwilił Marciniak. — W dotych-  
czasowych osiągnięciach spółdzielni

wielka jest przecie zasługa zetem-  
powców.

Dziewczyna zarumieniała się tro-  
chę tą pochwałą. Uczuła ogromną  
radość za to uznanie od starszych,  
a bardziej jeszcze, że praca mło-  
dzieży przynosi wiele dobra spół-  
dzielni. Bo naprawdę rzetelnie pra-  
cują. Ona sama nimo że wciąż  
jest zajęta prowadzeniem zetem-  
powskiego Koła i różnymi sprawa-  
mi społecznymi, w pracowała w  
zeszłym roku 280 dniówek. A inni?  
Młodzież Alfons Gaś od lipca po  
ukończeniu szkoły wypracował 123  
dniówki, Eryk Popanda 240, Janina  
Jendroszek aż 287. Można by tak  
wymieniać wszystkich z 18-tu człon-  
ków zetempowskiego koła przy  
spółdzielni. Złot Młodzieży uczuli  
40-toma bezinteresownymi, poza-  
obrachunkowymi dniówkami. A  
przy żniwach dopiero się ujwiali.  
Postanowili sobie, że będą przodo-  
wać na całą okolicę. I dotrzymali  
zobowiązania. Tak się wzajemnie  
prześcigali, że wielu z nich wypra-  
cowało po półtrzeciej dniówki  
dziennie. Ogólny ich wynik przy  
żniwach wyniósł przeciętnie półtro-  
rej dniówki na jedną osobę. Tak  
samo pracowali podczas omłotów,  
wykopków i przy innych pracach.  
Zdobyli — jak mówią — „nie tylko  
rekord w pracy, dobre zarobki, ale i  
honorowy proporzeczek w nagrodę”.  
Dlaczegożby i teraz nie mogli po-  
pracować? nie przyjąć zobowiązań,  
które zaprojektował Marciniak?

Niech sobie pada śnieg, niech  
skrzypi mrozem pod kołami wo-  
zów, czy pod rafami sań — nic to  
zetempowcom ze spółdzielni pro-  
dukcyjnej w Gwoździanach nie  
przeszkadza. Już w drugi dzień po  
zebraniu chłopaki zaprzęgli konie  
i pojechali do odległego o 13 km Lu-  
blinca. Spieszyli się, by wedle zo-  
bowiązania zwinąć na pokrycie no-  
wego, budynek 25 tysięcy dachów-  
wek, 600 gąsiorów i 11 metrów  
szesnastennych drzewa. Dziewczyna  
znowu zabrała się żywo do uporząd-  
kowania podwórza i całego ośrodka  
spółdzielni, a także pomagały przy  
załadowywaniu sprowadzonego z  
Lublince materiału. Starsi patrzą  
na nich z zadowoleniem i uśmie-  
chem, lecz i oni też się mocno zwi-  
żają: przeglądają maszyny i narzę-  
dzia ro



TEOFIL KOWALCZYK

## W POWIECIE WAŁBRZYSKIM

(ANALIZA TRUDNOŚCI ORGANIZACYJNYCH CZYTELNICTWA)

Kierownictwo Biblioteki Powiatowej w Wałbrzychu włożyło nie mało pracy w upowszechnianie czytelnictwa. Kolektyw i Kółka Przyjaciół Książki okazały nie małą pomoc w zakresie organizacyjnym i politycznym. Ale mimo to — wg. oceny kierownika Biblioteki Powiatowej, Heleny Marmy — rezultaty są słabe. Powiat liczy 4221 czytelników stałych, tj. zaledwie 8,4% ogółu ludności. Wprawdzie w porównaniu ze stanem czytelnictwa w Polsce sąsiedniej (np. w Międzybuziu) czytelnictwo stanowi 0,2% ogółu ludności, jest to ogromnym krokiem naprzód, nie mniej jednak wbrew interesowi społecznemu liczba ta jest stosunkowo mała. Gdzie leży przyczyna tego stanu rzeczy? Dlaczego czytelnictwo nie stało się jeszcze zjawiskiem masowym?

Wszystko dzieje się dobrze, gdy chodzi o odcinek pracy od powiatu do gminy. Są dyrektywy, są wyświadczenia, odbywają się odczyty i pogadanki na temat książki i literatury. Jest nawet plan, opracowany właściwie i z myślą. Ale praca zatamuje się na przestrzeni od gminy do gromady. Dopóki działają administracyjne i administracyjne karności — plan bywa realizowany. Dotychczasowe wyniki w czytelnictwie zawdzięcza powiat Wałbrzych administracyjnemu kierownictwu. Społeczny czynnik jest — do pracy się nie wciąga. Biblioteka powiatowa sama zorganizowała kolektyw, sama powołała Kółka Przyjaciół Książki, sama organizuje wystawy, odczyty i pogadanki. Działalność kolektywu czytelniczego, a więc ludzi, którzy i tak wcześniej czy później spotkali by się z książką, nawet bez istnienia bibliotek gminnych. Rada Książki i Czytelnictwa jest martwym organem. Funkcje jej przejął kolektyw powiatowy i Kółka Przyjaciół Książki. Ale nikt nie dociera bezpośrednio na wieś, do chłopów, do kobiet wiejskich. Tu już nikt czytelnictwa nie kieruje, bo brakuje administracyjnego czynnika. Gminne rady narodowe poprzestały na stworzeniu i obsadzeniu jednoosobowych etatów bibliotekarzy gminnych i uważają, że sprawę czytelnictwa i kultury załatwi ostatecznie. Książki w gminie są — więc o coś więcej chodzi, prawda? Działalność propagandowa, bardzo znaczna, kończyła się zazwyczaj na sześciu gminach. W roku 1952 imprez wszelkiego rodzaju (wystawy, plakaty, odczyty, gazety, scenki) zorganizowano 253, ale z tego w ośrodkach o charakterze miejskim (Gorce, Boguszów, Szczawno-Zdrój) — 155, czyli, że wieś jako taka została pominięta. Biblioteczki Powiatowa tworzy „biblioteczki sąsiedzkie” opierając ich funkcje na aktywach czytelnictwa. To bardzo dobrze. Jest to próba dotarcia do czytelnika wiejskiego bezpośrednio. Ale istnienie tych bibliotek wypływa znowu z ducha „administracyjnego”. Brak jest oddolnego parcia w górę, od wsi do powiatu, od czytelnika do administracji. Brak głosów, czego żąda czytelnik od biblioteki, od książki,

a w konsekwencji od pisarza. Pisarz nie zawsze wie czego chce sam czytelnik, a to jest sprawą ważną. Kierownicy punktów bibliotecznych po wsiach podchodzą do czytelnictwa w sposób mechaniczny; po prostu wymieniają książki i nie wiedzą, Rekrutują się z elementu przypadkowego. Niechętnie albo wcale nie biorą udziału w kolektywach gminnych, nie informują bibliotekarzy o oddziaływaniu książki na czytelnika, nie sporządzają nawet najprostszych wykazów statystycznych. Czyta tu wina? Kto ponosi moralną odpowiedzialność?

Przekształcamy się w kraj socjalizmu. Wiad, że gromady indywidualnych gospodarstw przechodzi w społeczność zespołową. Trwa walka starego z nowym. Socjalizm podnosi kulturę, ale i żąda jej od ludzi, domaga się wyższej świadomości, wiedzy ogólnej i fachowej, a więc bazy na wyższej kulturze. Awansuje czytelnictwo do rangi oręża klasowego, bo ono innym nigdy nie było. Kto winien mieć tutaj głos decydujący? Kogo brak w walce o rozpowszechnienie czytelnictwa w powiecie Wałbrzych? Ano, masowych organizacji społecznych. No, a przede wszystkim gminnych rad narodowych. Brak ludzi, którzy kierują społecznością. Działalność kolektywów powiatowych, działających Kółka Przyjaciół Książki, ale gdzie są gminne zarządy S.Ch. i Kółka S.Ch., gdzie są gminne zarządy Ligi Kobiet i Kółka gospodyń wiejskich? Gdzie jest łączność świetlic z bibliotekami, gdzie są wiejskie organizacje młodzieżowe? Dlaczego rady narodowe nie uaktywniają tych organizacji masowych? W sprawozdaniu rocznym Ob. Murmyno o działalności biblioteki jest wzmianka o tych organizacjach, ale negatywna, bo „nie dają rezultatu próby nawiązania współpracy z organizacjami masowymi” w celu powołania Komitetu Bibliotecznego, Komitetu Oceny Współzawodnictwa czy Komisji Konkursowej. Liga Kobiet współpracuje tylko z biblioteką miejską w m. Boguszowie. Spółdzielczość produkcyjna wyzwała potrzebę czytania i pogłębiania wiedzy. Spółdzielnia produkcyjna w Kamiensku, gdzie punkt czytelniczy prowadzi oborowa Sznajder Lidia, pobrała w ostatnim miesiącu z Biblioteki Powiatowej 300 książek. Tu czytelnictwo rozwija się bardzo dobrze. Ale istnieją spółdzielnie, w których stosunek do czytelnictwa jest wręcz karygodny. Przewodniczący produkcyjnej składowej spółdzielni produkcyjnej w Szczawinie odmówił odpłatnie lokalu bibliotecznego do obsługi 160 czytelników twierdząc, że lokal ten powinna opalać Powiatowa Rada Narodowa, bo książki stanowią jej własność. Przewodniczący Spółdzielni w Szczawinie — Zdroju w pokoju bibliotecznym urządził sobie gabinet, jakkolwiek posiada do dyspozycji parę wolnych pokoi. Nie zadbał o księgozbiór, z którego zginiło 22 książki. GRN w Miroszowie nie chciała przydzielić lokalu dla biblioteki gminnej. Trzeba

było interwencji aż Komitetu Powiatowego PZPR. Te przykłady są dowodem, że tak rady narodowe jak i organizacje masowe nie doceniają roli czytelnictwa w momencie przekształcania się społeczeństwa w społeczność socjalistyczną, w okresie wzmocnionej walki klasowej nie doceniają książki w tej walce jako broni potężnej i skutecznej. Jest godnym uwagi fakt, że w gminach gdzie czytelnictwo książek radzieckich, marksistowskich i popularno naukowych osiągnęło najwyższe rozmiary tj. ponad 2.500 wypożyczeń, a więc w gminach Gorce, Wałim, Szczawno-Zdrój i Boguszów spółdzielczość produkcyjna rozwija się pomyślnie. Doskonałe rezultaty daje współpraca biblioteki gminnej ze świetlicami. W gminie Wałim, gdzie ta współpraca istnieje, czytelnictwo w ciągu roku 1952 wzrosło o 122%. Sprawa zrozumiała. Współpraca biblioteki ze świetlicą to coś w rodzaju Klubu Wiejskiego, a więc wyższy stopień pracy kulturalnej na wsi. Szkoda, że tej współpracy nie ma w innych gminach.

Dlatego więc Rada Czytelnicza i Książki nie rozpoczęła swojej działalności? Czy może brak czasu? Chyba nie. W terenie, w szczególności w jego gminnych ośrodkach — to oręż w walce o zbudowanie lepszego jutra, a nie środek nasenny „do poduszki”. „Zbijanie czasu”? Taki pogląd to pozostałość po ustroju kapitalistycznym, który we własnym interesie taką właśnie funkcję społeczną przeznaczał książce i czytelnictwu: usypiać społeczeństwo i łagodzić w ten sposób konflikty klasowe. My nie potrzebujemy wypaczać idei czytelnictwa. Dla nas jest ono środkiem do przebudowy społeczeństwa. Zrobiliśmy już wielki krok naprzód, krok rewolucyjny. Do bibliotek ruszają. Trzeba je rozbudować w wielki, ogarniający cały naród, płomień.

W terenie są wielkie potrzeby. Styszy się, że brak ludzi na stanowiska w radach narodowych, w Gmin. Spółdzielniach, w POM-ach, ba — nawet na stanowiska bibliotekarzy. Wśród wysuwanych w drodze awansu społecznego części zatamuje się po pewnym czasie, odchodzi. Dlaczego? Bo mieli za mało kontakt z książką, za mało umieli w czasach szybkich przemian społecznych i gospodarczych, rozwój wyprowadził ich kulturę osobistą. Czytelnictwo jest powołane do tego, by na przyszłość temu zatamowaniu przeszkodzić.

Na zakończenie mała uwaga. Kierownik Biblioteki Powiatowej w Wałbrzychu Ob. Murmyno skarżyła się na brak recenzji o książkach w pismach literackich. Utrudnia to kompletowanie księgozbioru, zwłaszcza jeśli chodzi o wieś. Prosiła aby o tym napisać. Czyż nie to z pełnym poczuciem odpowiedzialności.

Teofil Kowalczyk



STANISŁAW KRAKOWIAK

## KSIĄŻKA W ŁĄZNOWIE

Gminę Łąznów w pow. brzezińskim zamieszkuje 3.045 osób. Jest to gmina rolnicza, dobrze wywiązująca się wobec państwa ze swych obowiązków. I tak w r. 1951 w skupie zboża zajęła drugie miejsce w powiecie brzezińskim, w r. zaś 1952 wyprzedziła produkującą gminę Nieszków. Podobnie przedstawia się skup i kontraktacja trzody chlewnej i kontraktacja roślin przemysłowych. Również akcje polityczne przechodzą sprawnie z dobrymi wynikami.

Bo też zmiany, jakie zaszły w gminie w ciągu 8 lat Polskiej Ludowej, przekonywują namacalnie, konkretnie każdego chłopu i robotnika, że władza jest w rękach ludu, że Państwo Ludowe należy popierać, bo to jest własne robotnicze i chłopskie państwo. Elektryfikacja 70 proc. gromad gminy, radiofoniczność, polepszenie warunków zdrowotnych (Ośrodek Zdrowia, Ośrodek Weterynaryjny, punkty sanitarno-rodzajowe, punkty szkolnictwa, oświaty, kultury (szkoła zawodowa, kino stałe, świetlica gminna). Wszystko to stanowi dowody nie do odparcia. Ostatnio jednak w gminie daje się zauważyć, że zarówno działacze gminni jak i gromadcy tracą perspektywę działania. Daje się słyszeć pytanie: Co robić dalej? Koncepcja zagospodarowania wsi i gromadzenia się wokół zdobytych gospodarczych i kulturalno-oświatowych w zasadzie została zrealizowana. Obecnie staje przed Radą Narodową, Partią i organizacjami społecznymi sprawa, którą odkładano z roku na rok — sprawa socjalizacji wsi. W gminie Łąznów w żadnej gromadzie nie ma spółdzielni produkcyjnej, istnieje tylko od kilku lat suchotnia, czy Komitet Założycielski w Popielawach. Gospodarze Kocin, Łąznowa, Michałowa, Popielaw, to w większości dobrzy rolnicy, znawcy uprawy roli, hodowli itp. Dorobili się za włady ludowej. Pozostali samodzielnicy lub w kilku motoriki elektryczne, którymi młócą, rżną siewkę, poruszają łąki i łąki. Gdyby było można, zakupiliby i traktory, tylko mówią, że państwo im nie sprzeda i na swoich poletkach — książkach, ziemi, nie łatwo było by orać.

W zimowe wieczory r. 1953 przy świetle żarówek elektrycznych, przy głosach radiowych chłopów w Łąznowie, Kocinach, Popielawach, zastanawiają się, dyskutują coraz mocniej nad tym, co robić dalej? Wielu z nich szuka odpowiedzi w prasie i książkach, wypożyczanych z punktów biblioteki gminnej. Do takich należy Antoni Jędrzejewski z Popielaw. Przed wojną Jędrzejewski był formalnie. Za udział w strajkach dworskich był parę razy usuwany z pracy u obszarników. Po wyzwoleniu otrzymał z nadziału 2,80 ha ziemi, 1 ha poddzierżawał jeszcze i gospodarował. To go jednak nie cieszy. To jest — powiada — robota partacka, bez rozmachu. Przeczytał „Zorany ugor” Szolochowa, a jako aktywista partyjny czytał zyciorys Lenina i Stalina, książkę rolnicze, poważne i postępowe. Zaszły w nim głębokie zmiany, widzi i rozróżnia lepiej wrogów, sprzymierzeńców i wahańców. Mimo lat 60, nie szczędzi sił, aby zbudować w gminie spółdzielczość produkcyjną. Podobnym jest Matera, również z Popielaw. Książki wypożycza z

punktu bibliotecznego przez dzieci.

Czyta powieści radzieckie i polskie. W Kocinach do chłopów, szukających w książce nowych dróg w przyszłość, należą Kik Władysław, Cieślak, Franciszek Szulc, Stefkówna, Persanowski i inni. I ci coraz częściej mówią, że tak, jak dotychczas, gospodarować dalej nie można.

Rzecz znamienna, w ostatnim czasie nastąpiło poważne przesunięcie zainteresowań czytelniczych chłopów. Obok zawsze popularnych książek Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Kruczkowskiego, Nowej-Myśli, Ostrowskiego czy Polewskiego — którzy zdobyli już sobie wśród naszych czytelników trwałą pozycję — coraz większym zainteresowaniem cieszy się radziecka literatura kolchozowa. Chłopi dopraszają się o „Zorany ugor” i „Ziemia” Nikołajewej. To ma swoją wymowę. Powiem szczerze, co myślę: gdyby wszyscy przeczytali te książki, inaczej by wyglądała w naszej gminie sprawa kolektywizacji.

Tym dalszy jest fakt, że sprawa upowszechnienia i pogłębiania czytelnictwa w gminie Łąznów nie znalazła jeszcze zrozumienia wśród tych, którzy kierują gminą, tj. Prezydium GRN, Komitet Gminny Partii i organizacjach masowych.

Biblioteka gminna — ten podstawowy ośrodek upowszechnienia czytelnictwa — mieści się w świetlicy gminnej w Kocinach. Przed rokiem, również katem, mieściła się w jednej ze szkolnych sal. Brak odrębnego lokalu sprawia, że bibliotekarka, Maria Kuchłowa, nie może w pełni rozwinąć swojej energii. Lokale nadające się były, prezydium nie zrobiło jednak nic, aby dostała je biblioteka. Traktowano ten problem po macoszu.

Mimo to czytelnictwo się rozwija. Rosną przeciw potrzebę kulturalne chłopów. W ostatnim miesiącu ilość stałych czytelników wzrosła o 10% — (22 czytelników). Dużo książek kupuje się w GS-ie. Książek radzieckich poszło w ubiegłym roku na sumę 3.000 zł. Dzieła wybrane Mickiewicza rozeszły się w ilości 15 egz., Orzeszkowej — 10 egz., Starej Baśni — 30 egz. Własne domowe biblioteczki pojawiały się już nie tylko wśród nauczycieli, ale i u pracowników gminnych, robotników, kolejarzy i chłopów.

Tylko, że ruch to jeszcze wciąż zbyt wolny, bo żywiłoby. Na 3.045 mieszkańców stałych czytelników mamy 233, czyli niespełna 7%.

Trzeba więc — wobec nowych zadań, które stanęły przed gminą — zająć się dużo ostrzej sprawą dalszego upowszechnienia czytelnictwa jako jednej z ważnych dzwigni dalszego marszu naprzód.

A środków do tego — jeszcze niewykorzystanych — jest sporo.

Kierownictwo biblioteki wraz z nauczycielstwem i komisją oświatową mogło by urządzić obchody z książkami po gromadach. Takie obchody propagandowe urządzają często listonosze.

Można by — wysunęła ten projekt ob. Kuchłowa — zwolnować, zwłaszcza w okresie zimowym, czytelników biblioteki na narady, na dyskusje o książkach, na spotkania z literatami itp.

Należałoby popularyzować czytelnictwo książek przy pomocy radiowęzłów terenowych, które jak dotąd poza komunikatami niczego więcej nie nadają.

Trzeba by również częściej zmieniać komplety książek w punktach bibliotecznych i lepiej uwzględnić życzenia czytelników przy uzupełnianiu księgozbioru biblioteki gminnej. Dotychczas jest z tym nienajlepiej, np. w bibliotece jest tylko 1 egzemplarz „Jak hartowała się stal”, książki jednej z najbardziej poszukiwanych.

Gminne Spółdzielnie mogły by droższe książki sprzedawać na raty. Dotychczas robią to z niezłym skutkiem — kolporterzy.

A nade wszystko trzeba, aby sprawa książki stała się sprawą całego gminnego aktywu, by była systematycznie analizowana przez akty — jak każda inna sprawa o wadze państwowej, słowem — aby organizacje przyszły z pomocą bibliotekarzom w ich walce o wyższy poziom czytelnictwa i czytelnictwa i o bystrzejszy nurt rewolucji kulturalnej na wsi.

Monika Warnieńska

Stanisław Krakowiak

Kronika radziecka

## KULTURA W KOŁCHOZACH

NIE zapominajcie, o 8 wieczór mamy spotkanie czytelników z pisarzem. Rzeczywiście, na ścianie w czytelni wisi olbrzymi barwny afisz. Jeszcze czas, ale przygotowania idą w gorączkowym tempie. Ustawiła się stół z książkami przyjeżdżającego pisarza. Na ścianie — w oszklonej gablocie portret autora i jego biografia.

— Kto to wszystko robi? — My, wszyscy kołchozi. Afisz pomógł zrobić nauczyciel rysunków. Przygotowywali się przez szereg wieczorów, nauczyliśmy się recytacji, pomagali nauczyciel rosyjskiego. Wszyscy kołchozicy otrzymali zaproszenia i wszyscy wysłuchali nauczyciela literatury, potem wystąpił pisarz, po nim odczytał dyktando.

— A wdziałeś „Ożenek Gogola” w wykonaniu naszego kołchozowego chóru dramatycznego reżysera nauczyciela Pieszkowej?

— A znacie program naszego kołchozowego klubu? W sobotę dyrektor szkoły wystąpił z referatem na temat sytuacji międzynarodowej. Dwa razy w tygodniu przed filmowymi pokazami nauczyciele robią przed publicznością przegląd prasy. W poniedziałek będzie odczyt o wielkich budowlach komunizmu. Prelegent-nauczyciel geografii. Jutro rozmowa z felczerem o ochronie zdrowia. A w wesołym tygodniu dyrektor MTS opowiadał o przyszłej agrotechnice.

Taką rozmowę i takie fakty z życia kulturalnego zamawiał korespondent „Literaturny Gazyet” w kołchozie „Bolszewik” i w kołchozie im. Kujbyszewa w rejonie Czkałowskim.

Przedstawiony obraz ciekawie pokazuje i poziom, i szerokość zainteresowań kulturalnych kołchozowników. „W ciągu ubiegłych lat — mówi na XIX Zjeździe KPZR tow. Malenkov — szerokość i różnorodność została się instytucji kulturalno-oświatowych w miastach i w 1951 w chwili obecnej miastach w kraju 388 tysięcy bibliotek wszelkich typów. W porównaniu z 1939 rokiem liczba bibliotek wzrosła o przeszło 120 tysięcy. Roczny nakład książek osiągnął liczbę 800 milionów egzemplarzy i wzrósł 1,8 raza w porównaniu z 1940 rokiem. Liczba stałych i dawkowych w miastach i na wsi zwiększyła się w okresie od 1930 roku prawie trzykrotnie”.

Ogromną rolę w kulturalnym życiu kołchozów odgrywa „książka” gazeta, film. W 1952 r. w Związku Radzieckim wychodziło ponad 7.800 dzienników i ponad 1.400 różnych czasopism. Przeliczywszy dzienny nakład prasy: 36 milionów egzemplarzy.

Nie ma takiego rejonu gdzie nie byłoby gazety. Procz tego także w kołchozach ukazują się gazetki ścienne.

Za okres 1948 — 52 wyszło 219.455.000 książek pomocnych w pracy kolchozowej — na tematy rolnicze.

Sprzedaż książek na wsi kołchozowej w zeszłym roku wzrosła o 24 procent. W tym roku zwiększył się półtora raza. Książki rozprowadza się księgarni, spółdzielni, ruchomych punktów sprzedaży i kadra księgowości.

Obecnie w kołchozach istnieje ponad 20 tysięcy wiejskich księgarni, ponad 2.500 rejonowych sklepów i około 1.000 placówek obsługujących potrzeby kulturalne. Procz tego księki i przenośne punkty sprzedaży osiągnęły już cyfrę ponad 4 i pół tysiąca.

W okresie robot rolnych, kiedy kołchozownicy nie mają czasu chodzić do sklepu, uruchamia się księgarnie lotne. Tylko na samej Ukrainie radzieckiej w zeszłym roku było ponad 7.000 ruchomych księgarni współpracujących z wielką kadra księgowości.

Wyrażam potrzebę i stalego pędu do kultury i ustawicznie wstępujących wymagań czytelnika wiejskiego jest rozległa sieć bibliotek wiejskich i rejonowych-państwowych i kolchozowo-własnych. Osiągnięcia tych ostatnich jest to, że powstają one ze składek kolchozowych i obsługiwane są bezpłatnie a więc w ramach pracy społecznej przez kołchozową inteligencję, nauczycieli, nauczycielstwo. Kolchozowy bibliotekarz to nie tylko pracownik techniczny, ale też propagandzista w zakresie nauki i kultury.

Nowa pleciolotka przewiduje znaczny wzrost kołchozowej sieci czytelniczej, wzrost klubów i placówek kultury a także filmu i telewizji.

„Sieć masowych bibliotek zwiększy się w ciągu pięciu lat co najmniej o 30 procent, a klubów o 15 procent” — mówi na XIX Zjeździe tow. Saburov.

Inne cyfry. W zeszłym roku kołchozowe sklepy sprzedawały sprzęt sportowy na jeden miliard rubli. Za 180 milionów rubli kołchozowcy zakupili instrumenty muzyczne. W domach kołchozowych ustanowiono 1.300 pianin w rosyjskiej republice radzieckiej prosperuje 240 klubów kołchozowych i 13.159 bibliotek.

Jak żyją kołchozi? Udamy się śladem korespondentów. Oto dane na wyrywki.

W Moldawii nauczyciele przeprowadzili w zeszłym roku w kołchozach ponad 5 tysięcy rozmów z rodzicami na temat wychowania dzieci.

W kołchozie Siemiejewka (północny Kazachstan) w bibliotece zorganizowano ponad 100 referatów, wieczorów literackich i konferencji z czytelnikami.

Filarmonia z Odessy rozjeżdża po okolicznych kołchozach z programem muzycznym, m. in. z montażem „Puszkina w muzyce”.

W kołchozie im. Stalina w rejonie Taszkikent odbyła się sesja wyjazdowa Instytutu Ekonomiki Akademii Nauk Uzbekkiej Republiki Radzieckiej. Na sesji wobec kołchozniczego audytorium wysłuchano pracy zastępcy przewodniczącego kołchozu na temat gospodarki skomunizowanych kołchozów. Autor pracy — kołchoznik uzyskał naukowy stopień aspiranta.

W rejonie Charkowa pracuje w kołchozach blisko 2.000 muzycznych kółek. Kołchoznicy wystawiają opery i operetki o tematyce ludowej.

W kołchozie Ingulec (rejon Dniepropietrowska) można zapoznać się z ciekawą statystyką absolwentów szkoły, 125 zostało nauczycielami, 61 — inżynierami, 24 — lekarzami... stał też wysłany generalowie, pracownicy partyjni, politycy, artyści, zootechnicy i dziennikarze. Ogromne możliwości otworzyły się przed wsią radziecką.

„Osiągnięcia charakteru naszej rewolucji — mówi Stalin — polega na tym, że rewolucja dała narodowi nie tylko wolność i materialne dobro, ale i możliwości dobrobytu i kulturalnego życia”.

Kultura w kołchozach podnosi się wraz z poziomem życia materialnego, ogólnego dobrobytu mas pracujących. Zgodnie z podstawowym prawem socjalizmu, sformułowanym przez Stalina w Jego ostatniej pracy „Ekonomika i problemy socjalizmu w ZSRR”, kultura ta będzie rosła z każdym rokiem.

Te same perspektywy otwierają się przed wsią w Państwie Demokracji Ludowej, przed wsią, która wstąpiła na drogę gospodarki kolektywnej i socjalizmu.

Grzegorz Timofiejew

BRONISŁAW PIĄTKOWSKI

## SZEROKA DROGA



— Podobne do naszych początków, sami wiecie, jak było.

Wiem. Wróg był wszędzie jednaki, czy w Grzmiącym Łęgu, czy w Warcholach. Płotka i pazurami, nierzadko ukrytymi strzałami z za węgla bronili kuliacy swojego wileńskiego prawa. Cóż z tego, że Polska Ludowa dała Giersowi czy Chamrolowi ziemię i wolę. Predko się spotrzeżgli, że pola te, kiedyś uprawiane dla jasnie panów, dawały piękne zbiory, bo były nowoczesnie uprawiane. A gdy na miejscu dworskich łanów wyrosły chłopskie zagonki, pola stały się „niewdzięczne” — zamiast złotej pszenicy, perzówkę z kółkiem rodziły. Choć Maciej z Chamrolem, Paskiem czy Gałązką starali się, jak mogli, nie dobrego z tego nie wychodziło — cała gromada siedziała w kieszeni kółków.

Uchwala Partii i Rządu w sprawie przebudowy ustroju rolnego pokazała im nową drogę. Lecz bał się utracić tego, o czym od wieków marzył. Widział, dziady — mówili kuliacy ze Starych Warchol — zaganią was do kołchozu i nigdy gospodarzami nie będziecie.

Rozgorzała walka klasowa na śmierć i życie, wróg działał oszczędnie, płotka, prośba i groźba. A Maciej Chamrol czytał „Zorany ugor” i uczył się od Kozaków z Grzmiącego Łęgu. Na nic się zdały kulaćskie zakusy poróżnienia warcholskich ludzi. Dawny sługus dziedzica, Mazurek, przedwojenny ekon. Warchol, próbował rozbudzić między chłopów. Bruździł dotąd, aż go chłopcy wyświecili z Warchol. Poszedł więc do kulaćków w Starych Warcholach i u swoich kamałów znalazł przytułek.

Walka z tym wrogiem secentowała szeregi chłopów z Nowych Warchol — założyli spółdzielnię.

— Ale nie łatwo to poszło — tyle mieliśmy potknięć i walki, że starczyłoby na drugą taką książkę, a drugie tyle błędów uniknieliśmy dzięki czerpaniu doświadczeń z błędów i osiągnięć Kozaków z Grzmiącego Łęgu. A dziś? Dziś — powtórzył Maciej — dziś — uczymy się już z innej książki — i podsunął mi pod nos „Kawaleria złotej gwiaz-

dy” Babajewskiego. — Patrzcie, sądzicie!

Spojrzenie moje pobiegło za wskazującym palcem Macieja. Tak, stało 7 domków ślicznych jak w bajce na obrazku. Dalej — palec Macieja wskazywał na północ — mieliśmy takie chlewki jak ten oto rozwalony zapadły w ziemię. A mamy — Maciej wskazywał na nowoczesną chlewnię — na 300 świń. Nie tak jeszcze było w Ust - Nowińskiej, ale i my nie mamy się czego wstydić. Tego jeszcze roku — dorzucił — uruchomimy żłobek i przedszkole.

Uśmiechnąłem się mimo woli — przypomniała mi się żona Albina Mieszka. Mówię ja jej pewnego razu, że w spółdzielni będzie lepiej, będzie mogła dziecko oddać do żłobka i będzie spokojnie pracować. Na to ona zaperzona — takis mądry, to ty oddaj swoją Danusię do żłobka. Po co ją w wózku twoja żona wozisz? Na to ja pytam — a wiesz ty, kobito, co to jest żłobek? Żłobek — odpowiedziała jakąś się — żłobek to, to, mówią ludzie, skrzynka zbita niby koniki żłob... — Cóż, zmądrzeją — poważnie rzekł Maciej, gdy mu opowiedziałem całą historię.

Bronisław Piątkowski

## Z notatnika opolskiego

(Dokończenie ze str. 4)

by docierały tam również książki o budownictwie socjalistycznym, o walce o pokój, o zagadnieniach wsi dzisiejszej, o młodzieży. Trzeba rzucić w teren tamtejsze książki (przede wszystkim pióra polskich autorów) o walce wyzwolenie ludu polskiego przeciw faszyzmowi. Trzeba zasilić repertuar tamtejszych świetlic i zespołów amatorskich. Trzeba wnikliwie badać potrzeby czytelnicze poszczególnych miejscowości, zaspokajając życzenia czytelników, podstawiać i umiejętnie propagować odpowiednią literaturę. To są sprawy, o których myśleć powinien, prócz literatów, także Centralny Zarząd Bibliotek, PPRK Ruch „Dom Książki”.

I trzeba więcej książek o Opolszczyźnie. Mają prawo żądać od pisarzy książek o swoich osiągnięciach ludzie, którzy dźwigali z gruzów i zniszczeń wojennych przemysł opolski. Mają prawo domagać się książek o swej długoletniej walce ci, którzy z pokolenia na pokolenie przez lat dziesiątki przekazywali mowę ojczystą i nakaz, by tej mowy strzec jak najdroższego skarbu. Wędrowną naszą zacięgnięli, my wobec Opolszczyzny dług. Dług zaufania, jakim pisarzy polskich obdarzyli ludzie ziemi, niegdyś traktowane przez Osmańczyka „krajem krzywdy”.

Monika Warnieńska

Stanisław Krakowiak

Grzegorz Timofiejew



